



UUK

ŻYWOT ŁAZIKA Z TORMESU

Maurycy Mann, Marcell Minc



Spis treści

1	Łazarz opowiada o swoim życiu a najpierw czyim był synem	5
2	Jak Łazarz zgodził się na służbę do księdza i co mu się u niego przytrafiło	16
3	Jak Łazarz zgodził się na służbę do szlachcica i co go tam spotkało	26
4	Jak Łazarz zgodził się na służbę do mercedariusza i co go tam spotkało	40
5	Jak Łazarz zgodził się na służbę do sprzedawcy bull odpustowych co mu się i niego przytrafiło	41
6	Jak Łazarz zgodził się na służbę do kapelana i co mu się u niego przytrafiło	48
7	Jak łazarz zgodził się na służbę do alguazila i co go tam spotkało	49

Prolog

Uważam za rzecz słuszną, aby zdarzenia tak niezwykle, a przy tym nigdy zapewne nie słyszane ani oglądane, doszły do wiadomości ogółu, zamiast ginąć w grobie zapomnienia. Być może, iż ktoś, czytając je, coś sobie w nich upodoba, a zwłaszcza ten, co w rozrywce nie doszukuje się głębszej myśli. Pliniusz¹ mówi z tego powodu, że nie ma książki, chociażby najgorszą była, w której nie znalazłoby się coś dobrego; tym bardziej że nie wszyscy mają jednakowe upodobania: czego jeden nie jada, za tym drugi przepada. Tak więc widzimy, że co jedni lekceważą, na tym inni potrafią się poznać. I oto czemu nie powinno się niszczyć ani odrzucać niczego, o ile tylko nie nazbyt jest wstrętne. Przeciwnie, wszystko trzeba poznawać, zwłaszcza gdy to nikomu nie uczyni szkody, a nawet pozwoli wyciągnąć jakąś korzyść.

Gdyby się tak nie działo, mało kto zechciałby pisać dla jednego tylko człowieka, ponieważ tego nie robi się bez pracy. Pisarze domagają się wynagrodzenia, lecz nie w pieniądzech, oni pragną, by dzieła ich przeglądano i czytano, a gdy będzie za co – chwalono. Tuliusz mówi z tego powodu: „Pragnienie sławy stwarza sztukę”².

Któż pomyśli, że żołnierzowi, który pierwszy się zaciąga, najbardziej sprzykrzyło się życie? Z pewnością nie. To żądza sławy pobudza go do narażania się na śmierć. To samo dzieje się w dziedzinie nauk i sztuk. Kaznodzieja świetnie mówi kazanie, a jest to człowiek, co nade wszystko troszczy się o zbawienie dusz. Ale spytajcie jego, czy nie miło mu usłyszeć: „Jakaż wspaniałą mowę wygłosiła Wasza Wielebność!” Imć pan Kowalski podle robił kopia, a podarował sajan³ pod

¹„Zwykł był nawet mawiać, że żadna księga nie jest tak złą, iżby przynajmniej z jakowej miary nie była pożyteczną”. (O swoim wuju, Pliniuszu Starszym – M. M.) K. Pliniusz Cecyliusz Sekundus. Listy przełożone na język polski przez R. Ziółcekiego, t. I, Wrocław, wydane przez hr. Raczyńskiego, str. 201, Biblioteka Klasyków Łacińskich.

²„Uznanie sprzyja rozwojowi sztuki, a sława budzi u wszystkich zapał do nauki, odłogiem natomiast leży zawsze to, czego nikt nie ceni”. Marcus Tullius Cicero, Rozmowy Tuskulańskie, Pisma Filozoficzne, przeł. Józef Śmigaj, wyd. I, t. III. Warszawa, PWN, 1961, (1, 2, 4), Biblioteka Klasyków Filozofii.

³Sajan – obcisły męski kaftan z kwadratowym wycięciem przy szyi, z rękawami bufiastymi, często nacinanymi, zwężającymi się od łokci; noszony w Europie do XVII wieku przez rycerstwo i dworzan. W oryginale: *sayete de armas* – krótki sajan zakładany pod kolczugę.

kolczugę błaznowi za to tylko, że pochwalił kilka jego zręcznych pchnięć. Cóż by on uczynił, gdyby to było prawdą?

I tak we wszystkim. Dlatego wyznając, że nie jestem świętobliwszy od moich bliźnich, wcale nie udam zasmuconego, jeżeli kto zwróci uwagę na mą drobnostkę napisaną pospolitym stylem. Przeciwnie, ucieszę się, gdy praca moja zabawi tych, co znajdą w niej coś ładnego i dowiedzą się z niej, że żył na świecie człowiek, który przeszedł tyle przygód, niebezpieczeństw i przeciwności losu.

Upraszam więc Waszą Miłość, przyjmijcie skromną pracę z rąk tego, co chętnie uczyniłby ją cenniejszą, gdyby zdolności jego odpowiadały pragnieniom. A ponieważ napisaliście, abym drobiazgowo opisał i wyłożył całą historię, przeto wydało mi się słusznym rozpocząć ją nie ze środka, lecz od samego początku. Dzięki temu poznacie moją osobę, a szlachetnie urodzeni dowiedzą się, jak małe są ich zasługi. Wszak szczęście im sprzyjało. O ileż więcej zdziałali ci, co mimo przeciwności losu, dzięki własnym siłom i zdolnościom, zawinęli do zacisznej przystani.

Rozdział 1

Łazarz opowiada o swoim życiu a najpierw czym był synem

Przede wszystkim, Wasza Miłość, dowiedźcie się, że nazywają mnie Łazarzem z Tormesu, a jestem synem Tomasza Gonzalesa i Antonii Pérez, pochodzących z Tejares, wioski pod Salamanką. Narodziny moje odbyły się na rzece Tormes, od której też otrzymałem przezwisko. A stało się to tak: ojciec mój, świeć Panie nad jego duszą, przeszło piętnaście lat był młynarzem i dozorcą młyna w młynie wodnym, który stoi przy brzegu tej rzeki. I oto pewnej nocy, gdy matka moja, będąc przy nadziei, znalazła się w młynie, nagle chwyciły ją bóle i tam też wydała mnie na świat. Toteż słusznie mogę twierdzić, że urodziłem się na rzece.

Gdy byłem chłopcem lat ośmiu, ojca mego posadzono o kilka dziur niezręcznie wyciętych w workach przywiezionych do młyna. Uwięziony z tego powodu, wyznał i nie zaparł się, i z rąk sprawiedliwości wycierpiał prześladowanie. W Bogu pokładałam nadzieję, że przebywa w królestwie niebieskim, albowiem ewangelia nazywa błogosławionymi tych, co cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości¹. W tym czasie podjęto wyprawę na Dżerbę². Wziął w niej udział i ojciec mój, który wówczas znajdował się na wygnaniu skutkiem wspomnianego wypadku. Wstąpił do wojska jako mulnik pewnego rycerza i razem ze swym panem poległ, jak na wiernego sługę przystało.

Matka moja, wdowa, widząc się bez męża i bez dachu nad głową, postanowiła zwrócić się do dobrych ludzi, jako że sama nie była gorsza. W tym celu przybyła

¹Aluzja do słów Ewangelii według świętego Jana (I, 20): „wyznał, a nie zaparł się; i wyznał” oraz do słów Ewangelii według świętego Mateusza (V, 10): „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem ich jest królestwo niebieskie”.

²Do 1554 roku podjęto dwie wyprawy na Dżerbę, wyspę w zatoce Gabes na Morzu Śródziemnym. Pierwszą w 1510 roku pod wodzą Garcii de Toledo, drugą w 1520 pod wodzą Huga de Moncada.

do miasta, najęła tam domek i zaczęła gotować stawę kilku studentom oraz prać bieliznę kilku stajennym komandora³ Magdaleny⁴. Wskutek tego, często bywając w stajniach, poznała pewnego Maura, z tych, co to leczą konie. Zdarzało się, że ten czarnoskóry przychodził do nas wieczorem i zostawał do rana, czasem i za dnia zbliżał się do drzwi pod pozorem kupna jaj i wstępował do domu. Z początku nie cierpiałem jego odwiedzin, bałem się go, widząc jego szpetne oblicze i barwę skóry. Lecz skoro spostrzegłem, że z jego przybyciem poprawia się nasze pożywienie, zacząłem pragnąć tych odwiedzin, bo on zawsze przynosił z sobą chleb, kawały mięsa, a w zimie i drzewo, przy którym grzaliśmy się.

W wyniku gościn i ciągłego przestawiania z nim matka obdarzyła mnie ślicznym Murzynkiem, którego huštałem i pomagałem niańczyć.

Pamiętam, gdy pewnego razu mój czarny ojczym zaczął bawić się z dzieckiem, malec, zobaczywszy, że ja i matka jesteśmy biali, a ojciec jego nie, skoczył ze strachem do matki i pokazując nań palcem, rzekł:

– Mamo, kominiarz!

On zaś śmiejąc się, odpowiedział:

– Ty synu ladaczny! – Choć byłem wówczas całkiem mały, zastanowiły mnie słowa mego braciszka i rzekłem sobie: „Iluż to musi być na świecie ludzi, którzy unikają innych dlatego, że nie widzą samych siebie”.

Los tak zrządził, że słuchy o stosunku Zaida (tak się nazywał) doszły do uszu zarządcy; przeprowadzone śledztwo wykazało, że kradł połowę owsa wydawanego dla koni; otręby, drewno, zgrzebła, szmaty, kapy i końskie derki gdzieś mu się zapodziały; gdy już nic nie zostało, począł rozkuwać konie – wszystko to szło do matki na wyżywienie mego braciszka. Nie trzeba dziwić się księdzu ani mnichowi, że jeden wyłudza od ubogich, a drugi ciągnie z klasztoru dla swych dewotek i na inne potrzeby, jeżeli miłość skłoniła do tego nawet biednego niewolnika. Dowiedziono mu wszystkiego, co rzekłem, a nawet więcej, bo kiedy zaczęto mnie badać i grozić mi, opowiadałem jak dziecko i ze strachu wydałem wszystko, aż do wiadomych podków, które z rozkazu matki sprzedałem pewnemu kowalowi.

Nieszczęsnego ojczyma wychłostano i spryskano wrzącym olejem; matce zaś wymierzono sto zwyczajowych batów, a nadto ogłoszono wyrok, aby nie ważyła się wchodzić do domu rzeczonego komandora ani też u siebie przyjmować ukaranego Zaida.

Żeby nie dolewać oliwy do ognia, biedna matka mężnie poddała się wyrokowi. Chcąc uniknąć niebezpieczeństwa i usunąć się od złych języków, zgodziła się do obsługi przejezdnych w gospodzie „Pod słońcem”. Tam wśród tysiąca niewygód wychowywała mego braciszka, dopóki nie nauczył się chodzić. Ja byłem już

³Komandor – godność w zakonach rycerskich, następna po wielkim mistrzu i przeorze. Tytuł rycerza zarządzającego dobrami nadanymi mu dożywotnio przez zakon.

⁴Święta Magdalena – parafia w Salamance należąca w XVI wieku do zakonu Alcántara.

sporym wyrostkiem i biegałem dla gości po wino, świece i po cokolwiek mnie posyłali.

W tym czasie zatrzymał się w gospodzie pewien ślepiec, który rozumiejąc, że nadałbym się dlań na przewodnika, wyprosił mnie od matki. Matka oddała mnie, mówiąc, że jestem synem czcigodnego człowieka, który w obronie prawdziwej wiary poległ w bitwie z Maurami, ona zaś ma w Bogu nadzieję, że niewidomy będzie dla mnie nie gorszy od ojca; prosiła go, żeby się ze mną dobrze obchodził i opiekował mną, bo jestem sierotą. Ślepy odpowiedział, że tak właśnie postąpi i że mnie bierze nie jako pachółka, ale jako syna,

I tak rozpocząłem służbę u mego nowego pana, który był już starym dziadem.

Po kilku dniach pobytu w Salamance pan mój zauważył, że jego zarobki są niedostateczne, i postanowił pójść stamtąd. Przed odejściem pobiegłem pożegnać się z matką; rozplakaliśmy się oboje. Błogosławiąc mnie, rzekła:

– Czuję to, synku, że cię już nie zobaczę. Staraj się być dobry i niech ci Bóg pomaga. Wychowałam cię, oddałam dobremu gospodarzowi, a teraz radź sobie sam.

Pobiegłem do mego pana, który na mnie czekał.

Wyszliśmy z Salamanki i dochodziliśmy do mostu. U wejścia na most stoi jakieś kamienne zwierzę, z wyglądu niby byk. Ślepy kazał mi podprowadzić się do tego zwierzęcia, a gdy się to stało, rzekł mi:

– Łaziku! Przyłóż no ucho do tego byka, usłyszysz wewnątrz głośnie dudnienie.

Uwierzyłem naiwnie, że to prawda, i przyłożyłem ucho, on zaś poczuwszy, że już trzymam głowę przy figurze, chwycił mnie krzepko ręką i uderzył o tego przekłętogo byka tak, że przeszło trzy dni czułem ból po jego rogach. Dziad rzekł mi:

– Naucz się, głupcze, że chłopak u ślepcy musi być mądrzejszy od samego diabła.

I długo śmiał się z tego żartu.

Wydało mi się, że w tej chwili otrząsnąłem się z naiwności właściwej dzieciom i rzekłem sobie: „Prawdę powiedział, trzeba mieć oczy otwarte i być czujny, skoro jestem sam na świecie i muszę dawać sobie radę”.

Zaczęliśmy wędrowkę. W ciągu kilku dni dziad nauczył mnie swego żargonu. Widząc, że jestem bardzo pojętny, ucieszył się i rzekł:

– Złota ani srebra dać ci nie mogę, ale dam ci wiele rad przydatnych w życiu⁵.

I rzeczywiście, po Bogu on dał mi życie i choć sam był niewidomy, oświecił mnie i skierował na dobrą drogę.

⁵Aluzja do Dziejów Apostolskich (III, 6): „Piotr zaś rzekł: srebra i złota nie mam; lecz co mam, to ci daję: W imię Jezusa Chrystusa Nazareńskiego wstań a chodź”.

Chętnie opowiem Waszej Miłości o mych dziecinnych psotach, żeby pokazać, ile w tym jest cnoty, gdy ludzie niskiego stanu potrafią się wznieść, a ile występku, gdy ludzie dostojni nisko upadają.

Otóż tedy wracam do mego poczciwego dziada i opowiem Waszej Miłości o jego sprawach, abyście wiedzieli, że odkąd Bóg stworzył świat, nie było na nim człeka sprytniejszego ani chytrzejszego. W swoim zawodzie był on po prostu orłem. Umiał na pamięć setki modlitw; gdy się modlił, głos jego niski, spokojny i dźwięczny rozlegał się w całym kościele. Twarz miał pokorną i pobożną; wygłaszając modlitwy, nadawał jej odpowiedni wyraz, a nie czynił żadnych gestów ani min ustami lub oczyma, jak inni.

Prócz tego znał tysiące sposobów wyludzania pieniędzy. Twierdził, że umie modlitwy na wiele różnych przypadków: dla kobiet niepełnych i dla kobiet przy nadziei; dla kobiet nieszczęśliwych w pożyciu małżeńskim znał modlitwy o miłość mężów; brzemienym przepowiadał, czy się chłopiec urodzi, czy dziewczynka. Także w zakresie medycyny twierdził, że nawet Galenus⁶ nie znał ani połowy tych co on środków: na ból zębów, na omdlenia i choroby macicy. Słowem, każdemu, kto tylko mu rzekł, że na coś cierpi, zaraz mówił:

– Zróbcie to a to! Zróbcie tamto! Nazbierajcie takich to ziół! Zażyjcie takiego to korzenia!

Toteż biegali za nim wszyscy, a zwłaszcza kobiety, wierzące we wszystko, cokolwiek im rzekł. Z nich też ciągnął sute dochody sposobami, o których mówię, i w miesiąc zarabiał więcej niż stu ślepców przez cały rok. Jednakże raczy Wasza Miłość wiedzieć, że aczkolwiek dostawał i posiadał tak wiele, nigdy nie spotkałem równie skąpego i chciwego człowieka. Morzył mnie głodem, tak że nie jadłem nawet połowy tego, co potrzebowałem. Mówię prawdę. Gdybym sam nie potrafił sobie pomóc sprytem i przebiegłością, wiele razy musiałbym zginąć z głodu. A jednak mimo całej jego wiedzy i przezorności tak go podchodziłem, że zawsze lub prawie zawsze przypadała mi część większa i lepsza. W tym celu uciekałem się do diabelskich podstępów, z których kilka opowiem Waszej Miłości, chociaż nie wszystkie wyszły mi na dobre.

Chleb i inne zapasy nosił dziad w płóciennym worku, który zamykał na żelazne kółko z kłódką. Gdy trzeba było coś włożyć do worka lub z niego wyjąć, robił to tak ostrożnie, licząc każdy kawałek, że nikt na świecie nie zdołałby podebrać choćby kruszyny.

Tymczasem ja otrzymywałem od niego tak małą porcję, że nie wystarczała nawet na dwa kęsy. Otóż gdy tylko on, zamknąwszy kłódkę na klucz, uspokajał się myśląc, że jestem czym innym zajęty, zaczynałem patroszyć skąpy worek przez

⁶Galen (Galenus) Claudius (ok. 130 – ok. 200) – lekarz rzymski greckiego pochodzenia. Był kontynuatorem dzieła Hipokratesa, sprostował wiele mylnych pojęć z anatomii i fizjologii. Wniósł cenny wkład do terapii, był twórcą wiedzy o postaciach leków. Pozostawił po sobie pisma z dziedziny medycyny, farmakologii, logiki, filozofii i filologii.

szew, który z jednej strony rozpruwałem, a potem znów zaszywałem. Wyciągałem z worka oczywiście nie żdźbło chleba, ale smaczne kęsy, smażoną słoninę i kiełbasy. Korzystałem z odpowiedniej chwili – nie żeby z łakomstwa łasować, lecz aby wynagrodzić sobie te diabelskie krzywdy, jakie znosiłem od niegodziwego ślepeca.

Wszystko, co tylko mogłem urwać lub ukraść z pieniędzy, trzymałem w półblankach⁷. Gdy dziada proszono o modlitwę, dając mu blankę, ja ją natychmiast wrzucałem sobie w usta, a na jej miejsce zjawiała się przygotowana półblanka, tak że zanim on wyciągnął rękę, już pieniądz przez moją zamianę tracił połowę wartości. Udawało mi się to, bo dziad był ślepy, a ten, co dawał, nie zapowiadał głośno, ile daje. Żalił mi się zły dziadyga, bo w dotknięciu rozpoznawał zaraz i czuł, że to niecała blanka.

– Cóż u diabła! – mówił – Odkąd jesteś przy mnie dają mi tylko półblanki, a dawniej płacili mi całą blankę, czasem nawet i marawedi. To ty mi przynosisz takiego pecha.

Zwykł on skracać modlitwy i przerywać je w połowie, nakazując mi szarpnąć go za poję, gdy zamawiający modlitwę oddalał się. Tak też robiłem, a on wnet na nowo wzywał przechodniów, mówiąc:

– Każcie odmówić taką a taką modlitwę.

Miał zwyczaj podczas obiadu stawiać obok siebie dzbanek z winem, ja zaś, szybko schwyciwszy dzbanek, dawałem mu dwa ciche pocałunki i wnet stawiałem na miejsce. Ale trwało to niedługo, bo dziad po ilości łyków rozpoznawał niedobór i od tej chwili, żeby zachować wino w całości dla siebie, nie wypuszczał dzbanka z rąk, trzymając go przed sobą za ucho. Lecz nie było magnesu, który by tak przyciągał żelazo, jak ja ciągnąłem wino przez długą słomkę żytnią, którą w tym celu sobie przyrządziłem. Wsuwałem ją w szyjkę dzbanka, a ciągnąc wino, śmiałem się w kułak ze ślepego. Ponieważ jednak nicpoń był strasznie przebiegły, myślę, że się połapał. Znów bowiem zmienił sposób postępowania. Zaczął wstawiać dzbanek między nogi i przykrywać go ręką, a wtedy już pił spokojnie. Ja zaś, przywykły do wina, ginąłem bez niego.

Widząc, że sposób ze słomą nie pomaga i nie zda się na nic, wymyśliłem przewiercić na dnie dzbanka małą dziurkę i leciutko zalepić ją cienkim plasterkiem wosku. Podczas obiadu, udając, że mi chłodno, przysuwałem się do nóg niegodziwego ślepeca, aby się pogrzać przy tym skąpym ognisku, któreśmy rozpalali. Od gorąca wosk, którego była cieniutka warstwa, prędko topniał, a z otworu strumyczek wina sączył mi się do ust, które tak podstawiałem, żeby nie zmarnować ani jednej kropelki. Kiedy biedaczysko zabierał się do picia, nie znajdował nic:

⁷Moneta ta równa była wartością połowie blanki, ta z kolei równała się połowie marawedi bądź 1/64 srebrnego reala.

wściekał się, złorzeczył, posyłał do diabła dzbanek i wino, nie wiedząc, co by to być mogło.

– Teraz, wuju, nie powiecie, że ja wam wypijam wino, bo nie wypuszczacie dzbanka z rąk – mówiłem.

Zaczął obracać i obmacywać dzbanek ze wszystkich stron, znalazł dziurkę i wykrył moją psotę, ale udał, że się niby niczego nie domyśla. Nazajutrz według zwyczaju ułożyłem się spokojnie i sączyłem z dzbanka, nie przewidując grożącego mi nieszczęścia ani nie domyślając się, że ślepy mnie pilnuje. Zacząłem jak zawsze łykać najśłodszy strumień wina, zwróciwszy twarz ku niebu i przy-mrużywszy oczy, aby tym lepiej rozkoszować się smacznym napojem. Wówczas przekłety dziad zdecydował, że wreszcie nadeszła chwila zemsty; uniósłszy obie-ma rękami ten dotąd słodki, a później tak gorzki dzbanek, z całej siły rzucił mi go w twarz. Biednemu Łazarzowi, który nie spodziewał się czegoś podobnego, lecz przeciwnie, był jak zawsze wesół i swobodny, zdawało się w istocie, że niebo ze wszystkim, co na nim jest, zawało mu się na głowę.

Cios był tak potężny, że straciłem przytomność; skorupy dzbanka rozcięły mi twarz w kilku miejscach i wybiły kilka zębów, których do dziś dnia mi brak. Od tej pory zniechęciłem ślepego; bo chociaż mnie pieścił, leczył i ugaszczal, widzia-łem doskonale, że cieszy się z okrutnej kary. Przemysł mi winem rany, przecięte skorupami dzbanka, i uśmiechając się, rzekł:

– Jakże ci się to wydaje, Łazarzu? Co ci zaszkodziło, niech cię teraz leczy i uzdrowi. – I inne w tym rodzaju robił żarty, które mi wcale nie były do smaku.

Nie czułem się zbyt dobrze po tej piekielnej karze z siniakami. Rozważając, że jeszcze kilka takich uderzeń, a okrutny ślepiec mnie zgubi, postanowiłem sam raczej zgubić się jemu. Jednak nie zrobiłem tego zaraz, ażeby uciec z największą dla siebie korzyścią i pożytkiem.

Gotów byłem nawet przemóc się i wybaczyć mu dzbanek, ale nie mogłem darować złego obojętnością ze mną. Od tej pory bowiem przekłety ślepiec odnosił się do mnie jak najgorzej, bijąc bez żadnego powodu, waląc po głowie i targając za włosy. Jeżeli ktoś go pytał, dlaczego tak źle mnie traktuje, natychmiast opowiadał zdarzenie z dzbankiem, dodając:

– Myślicie, że ten łobuz, to niewinne stworzonko? Posłuchajcie tylko i po-wiedzcie, czy sam diabeł wymyśliłby taki podstęp?

Słuchacze, żegnając się krzyżem świętym, mówili:

– Dziwy! Któż by pomyślał, że taki drobny chłopczyzna może być już tak ze-psuty.

I śmieli się bardzo z mojej sztuki, przygadując:

– Ćwicz go, ćwicz, Pan Bóg ci to wynagrodzi!

On też istotnie nic innego nie robił.

Za to i ja prowadziłem go zawsze najgorszymi drogami, umyślnie, żeby mu dopiec i dokuczyć. Jeżeli na drodze trafiały się kamienie, wiodłem go po nich;

jeżeli błoto, wybierałem, gdzie było najgłębsze. Wprawdzie i ja sam wówczas nie szedłem po suchym, ale z radością zgodziłbym się stracić jedno oko, bylebym tylko mógł pozbawić pary oczu tego, który nie miał ich wcale. On za to nieustannie końcem swego długiego kija szturchał mnie w kark; toteż zawsze nosiłem guzy i sińce, otrzymane z jego ręki. Zaklinałem się i przysięgałem, że robię to nie na złość, lecz dlatego, że lepszej drogi znaleźć nie mogę. Zaklęcia na nic się nie zdały, bo mi nie wierzył. Nicpoń był bardzo czujny i nadzwyczaj domyślny.

Aby Wasza Miłość przekonała się, jak tęgą głowę posiadał ten przebiegły ślepiec, opowiem jedno z wielu zdarzeń, które jak sądzę, da dobre pojęcie o jego niepospolitym sprycie. Kiedyśmy opuścili Salamankę, dziad miał zamiar udać się do Toledo, bo ludność tam, jak mówił, zamożniejsza, choć niezbyt hojna w jałmużnie. Ale on trzymał się przysłowia: lepszy rydz jak nic. Puściliśmy się w drogę przez najlepsze miejscowości. Gdzieśmy trafili na dobre przyjęcie i zarobek, tam zatrzymywaliśmy się; gdzie źle było, stąd na trzeci dzień braliśmy nogi za pas.

Zdarzyło się nam wstąpić do pewnego miasteczka, zwanego Almoroz, podczas winobrania. Jakiś zagrodnik dał ślepemu jałmużnę w postaci grona. Ponieważ z kosztami pełnymi gron obchodzą się niedbale, a nadto owoc w tej porze jest najdojrzały, przeto grono oblatywało w ręce, a gdyby je włożyć do worka, zamieniłoby wszystko w moszcz. Toteż ślepy postanowił mnie ugościć: raz dlatego, że nie mógł grona schować, a po wtóre, żeby mi zrobić przyjemność. Tego dnia bowiem otrzymałem wyjątkowo dużo kopniaków i szturchańców. Gdy usiedliśmy na ogrodzeniu, rzekł:

– Dziś będę hojny dla ciebie. Zjemy to grono we dwóch; ty otrzymasz z niego taką samą część jak i ja. Dzielić zaś będziemy tak: ty urwiesz raz, ja – drugi, ale pod warunkiem, że przyrzekniesz mi nie brać na raz więcej niż jedną jagodę. Ja będę robić tak samo, póki nie skończymy. W ten sposób nie będzie oszustwa z niczyjej strony.

Zawarłszy taką umowę, zaczęliśmy jeść; ale już za drugim razem nicpoń zmienił porządek i zaczął obrywać po dwie jagody, podejrzewając, że ja muszę robić tak samo. Zobaczywszy, że złamał umowę, nie zadowolilem się tym, żeby iść z nim równo, lecz postarałem się go wyprzedzić, jedząc po dwie, po trzy i jak się trafiło. Kiedy grono było skończone, dziad, posiedziawszy chwilę z kiścią w ręce, pokiwał głową i rzekł:

– Łazarzu, oszukałeś mnie, przysięgam na Boga, że jadłeś po trzy jagody.

– Nie jadłem – odrzekłem. – Ale dlaczego mnie o to posądzacie?

A przebiegły ślepiec na to:

– Wiesz, po czym ja poznałem, że jadłeś po trzy? Po tym, że nic nie mówiłeś, gdy ja jadłem po dwie.

Nic mu nie odpowiedziałem. Przechodziliśmy onegdaj podcieniami – a było to w Escalonie – koło domu szewca. Wisiało przed nim mnóstwo powrozów i wy-

robów z konopi, o które mój pan zawadził głową. Wyciągnąwszy rękę zmacał, co to być może, i rzeki:

– Chodźmy stąd czym prędzej, chłopcze. Uciekajmy od tej strawy, którą można się udławić, ale nie najeść.

Jako że myślamy byłem gdzie indziej, przyjrzałem się tym przedmiotom, a ponieważ powrozy i parciane popręgi nie nadawały się do jedzenia, spytałem:

– Wujku, czemu to mówicie?

Odrzekł:

– Cicho, synku, jeśli będziesz kroczył tą drogą, co dotychczas, przekonasz się i zobaczysz, że mówię prawdę.

Poszliśmy dalej podcieniami, aż dotarliśmy do oberży, z której ścian sterczało wiele rogów. Służyły one poganiaczom do uwiązywania mułów i koni. Mój pan zaczął macać, czy to na pewno ta oberża, gdzie zmawia się codziennie modlitwę, aby piekło pochłonęło gospodynię. Natrafiwszy na róg, chwycił go, westchnął głęboko i powiedział:

– O, przekłeta rzeczy! Najgorsza, jaką stworzono! Ileż to ludzi pragnie przypawić ją swoim bliźnim! A jak niewielu ich nie nosi ani nigdy w życiu nie dowiedziało się o nich!

Usłyszawszy to, zapytałem:

– Wujku, o czym mówicie?

– Cicho, synku, to, co trzymam w ręce, obrzydzi ci jeszcze niejedną kolację i kolację.

– Nie będę tego jadł – powiedziałem – to mi nie obrzydzi!

– Prawdę mówię, jeszcze się przekonasz; pożyjesz, to zobaczysz.

W ten sposób dotarliśmy do drzwi oberży, do której, na Boga, lepiej żebyśmy nigdy nie docierali, sądząc po tym, co mi się w niej przydarzyło.

Za nikogo więcej nie modlił się mój ślepiec prócz oberżystek, handlarek win, sprzedawczyń słodczy, ladacznic i innych kobieciny tego pokroju. Nigdy natomiast nie widziałem, żeby zmawiał modlitwę za jakiegoś mężczyznę.

Śmiałem się w duszy i choć byłem malcem, dobrze spostrzegłem wielki rozum ślepego.

Żeby się za szeroko nie rozwodzić, przemilczę wiele przygód, które zdarzyły mi się z pierwszym gospodarzem, choć były wśród nich dowcipne i zajmujące. Opowiem tylko ostatni wypadek i na tym skończę.

Działo się to w Escalonie, siedzibie księcia. Stanąwszy w gospodzie, dziad dał mi kawałek kielbasy, abym mu ją przypiekl na rożnie. Gdy kielbasa się piekła, zjadł grzanki nasyczone kapiącym z niej tłuszczem, po czym dobywszy z woreczka marawedi, kazał mi iść do szynku po wino. Diabeł widocznie podsunął mi pokusę przed oczy, a sposobność – jak to mówią – czyni złodzieja. Właśnie na brzegu komina leżała niewielka rzepka, podługowata, sparciała, zapewne taka, co już nie nadawała się do garnka i dlatego ją tam wyrzucono. Poczulem straszny

apetyt, kiedy nęcący zapach kielbasy mnie zaleciał, a wiedziałem, że tylko sam zapach jest dozwoloną mi rozkoszą. Nie zważając na możliwe skutki, pozbywszy się wszelkiej obawy, byle tylko zaspokoić pożądanie, schwyciłem kielbasę w tej samej chwili, gdy ślepy sięgał do woreczka po pieniądze. Momentalnie nadziałem na rożen wspomnianą rzepe, a mój gospodarz, wręczywszy mi pieniądze na wino, wziął ją i zaczął obracać nad ogniem. Chciał przypiec to, co już wyrzucono jako niewarte gotowania. Pobiegłem po wino i zarazem nie omieszkałem zmłócić kielbasy. Wróciwszy zastałem niegodziwego ślepca, jak trzymał w ręku między dwiema kromkami chleba – rzepe, której jeszcze nie rozpoznał, bo jej nie poma-cał. Gdy zaczął jeść i ukąsiwszy pajdę, spodziewał się razem z chlebem odgryźć kęs kielbasy, nagle zadrzał poczuwszy w ustach surową rzepe. Zmienił się na twa-rzy i krzyknął:

– Łaziku! Co to jest?

– O, ja nieszczęsny – zawołałem – znów chcecie na mnie coś zwalić! Czy ja nie biegałem w tej chwili po wino? Ktoś tu był i zadrwił sobie z was.

– Nie, nie – mówił – ja nie puszczałem rożna z rąk, to niemożliwe!

Zaklinałem się, przysięgałem, że nie jestem winien zamiany, lecz niewiele mi to pomogło, nic bowiem nie dało się ukryć przed domyślnością przekłętogo ślepca. Zerwał się i schwyciwszy mnie za głowę, niby pies gończy zaczął wachać mój oddech. Aby zaś łatwiej dojść prawdy, w wielkiej zapalczywości otworzył mi rękami usta szerzej niż należało i nie patyczkując się wsunął tam swój nos. Był to nos długi, spiczasty, a w tej chwili z niezadowolenia jeszcze się wydłużył o całą piędź, tak że koniec jego dochodził mi do gardzieli. I tak: strach, jaki czułem, krótkość czasu, będąca powodem, że przekłeta kielbasa jeszcze się nie uleżała w moim żołądku, a co najważniejsze – zaskoczenie niezmiernym, dławiącym mnie nosem, wszystko to stało się powodem, że występek się wydał. Przysmak ukazał się na zewnątrz i własność została zwrócona właścicielowi. Zanim bowiem ślepy zdążył wyciągnąć swą trąbę z moich ust, żołądek mój do tego stopnia się wzruszył, że oddał skradzioną zdobycz, i nos dziada wyskoczył mi z ust równocześnie z nieszczęsną, źle przeżutą kielbasą.

Wielki Boże! Wołałbym wówczas być w grobie! Już było po mnie! Wściekłość rozjuszonego ślepca doszła do tego, że z pewnością byłby mnie zabił, gdyby na hałas nie zbiegli się ludzie. Wyrwali mnie z jego rąk pełnych kosmyków tej reszty włosów, która mi jeszcze została, z podrapaną twarzą, okaleczoną szyją i gardłem. Prawdę mówiąc, zasłużyłem na to, jego to bowiem nienasycenie było przyczyną tak częstych kar.

Ślepy dziadyga zaczął wszystkim opowiadać o moich psotach, wracając wiele razy do historii dzbanka z winem, winnego grona i do tego świeżego wypadku. Wszyscy, słuchając, tak ryczeli ze śmiechu, że kto tylko przechodził ulicą, wstępował zobaczyć, co to za uciecha. Ślepy tak zręcznie i tak dowcipnie opowiadał o moich zbytkach, że nawet ja sam, choć zbity i zalany łzami, uważałem za słusz-

ne śmiać się z tego. Gdy się to wszystko działo, spostrzegłem moje tchórzostwo i niezdecydowanie, za które przeklinałem się w duchu. Mogłem przecież pozba-
wić go nosa – połowa drogi była już zrobiona i wystarczyło zacisnąć zęby, aby
został on w potrzasku. Może żołądek lepiej zatrzymałby go niż kielbasę, a wraz
z jego zniknięciem można by było wyprzeć się winy. Czemuż Bóg nie dał mi tego
uczynić. . .

Gospodyni zajazdu i goście pogodzili nas i obmyli mi twarz oraz szyję winem,
które ślepy miał do picia. Z tego to powodu dziad począł żartować, mówiąc:

– Naprawdę, ten łobuz marnuje mi na obmywanie więcej wina w ciągu roku,
niż ja wypijam przez dwa lata. W każdym razie, Łazarzu, ty zawdzięczasz winu
więcej niż rodzonemu ojcu; bo on raz tylko dał ci życie, a wino przywróciło ci je
tysiąc razy.

I tu opowiadał, ile to razy rozbił mi głowę i poranił twarz, i jak szybko wyle-
czył winem.

– Ja ci mówię – rzekł – że jeżeli jest na świecie człowiek, któremu wino przy-
nosi szczęście, to ty nim jesteś.

Bardzo się uśmieli ci, co obmywali mi rany, mimo że ciskałem przekleństwa.
Ale przepowiednia ślepego nie okazała się mylna. Wiele razy później wspomina-
łem tego człowieka, który niewątpliwie posiadał dar przewidywania i czuję wy-
rzuty sumienia za te przykrości, jakie mu wyrządziłem, choć z mojej strony była
to tylko odpłata. To, co mówił mi wówczas, sprawdziło się istotnie, jak o tym
Wasza Miłość dalej się dowie.

Wskutek ciągłych kpin i dogryzań ze strony ślepego postanowiłem w każdym
razie go porzucić. Myślałem o tym już wcześniej i miałem ten zamiar, ale ostatnie
zdarzenie utwierdziło mnie w nim nieodwołalnie. Zdarzyło się, że nazajutrz cho-
dziliśmy po mieście prosząc o jałmużnę, a poprzedniej nocy padał obfity deszcz;
ponieważ i w ciągu dnia padało, przeto ślepy chodził modląc się pod podcienia-
mi, które się tam znajdowały, i dzięki temu nie mokliśmy na słocie. Lecz gdy
z nastaniem wieczoru ulewa nie ustawała, stary rzekł do mnie:

– Łaziku, ten deszcz się zawziął, że im bliżej nocy, tym gęściej pada. Wracaj-
my zawczasu do gospody.

Aby tam dojść, trzeba nam było przejść przez strumień, który przybrał od
ulewnego deszczu. Rzekłem tedy:

– Wuju, strumień tu bardzo szeroki, ale ja widzę stąd jedno miejsce, gdzie by
można przeprawić się bez zamoczenia, bo tam jest najwęższy. Gdybyście tylko
zechcieli skoczyć, to byśmy przeszli o suchej nodze.

Spodobała mu się moja rada, więc rzekł:

– Bardzoś domyślny. Za to cię lubię. Prowadź mnie do tego miejsca, gdzie
strumyk się zwęża. Teraz zima – i z wodą trzeba być ostrożny, zwłaszcza źle jest
nogi przemoczyć.

Widząc, że nadeszła chwila porachunku, wyprowadziłem dziada spod podcie-
ni na plac i postawiłem go naprzeciw jednego z kamiennych słupów bądź filarów,
na których wspierały się sklepienia domów.

– Wuju – rzekłem – tu jest najwęższe miejsce strumienia.

Deszcz lał na nas jak z cebra, nie było czasu do namysłu, zwłaszcza że Bóg
odebrał dziadowi rozum, aby mi dać sposobność do zemsty; toteż uwierzył mi.

– Postaw mnie prosto jak należy i skacz.

Postawiłem go prościutko przed słupem i dałem skok, po czym stanąwszy za
nim jak ten, co się spodziewa ataku byka, zawołałem:

– Dalej, skaczcie jak najwyżej, jeżeli chcecie być po tej stronie!

Zaledwie zdążyłem to wyrzec, gdy biedaczysko podskoczył jak kozioł, od-
stąpiwszy krok w tył dla większego rozmachu, i z całej siły rzucił się naprzód.
Palnąwszy o słup głową, która huknęła jak próżna tykwa, dziad półmartwy, z roz-
waloną głową runął na wznak.

– Cóż? Jakże? Wąchaliście kielbasę, niełaska powąchać słup? Wąchajcie, wą-
chajcie! – rzekłem, zostawiając go na opiece tłumu, który zbiegł się na pomoc,
i nie oglądając się, pomknąłem do miejskiej bramy. Zanim noc zapadła, byłem
już w Torrijos.

Nie wiem, co się stało ze ślepym, i nigdy nie starałem się dowiedzieć.

Rozdział 2

Jak Łazarz zgodził się na służbę do księdza i co mu się u niego przytrafiło

Nazajutrz, nie czując się dość bezpiecznym w Torrijos, uciekłem do miejscowości zwanej Maqueda, gdzie za grzechy moje zetknąłem się z księdzem. Kiedy prosiłem go o wsparcie, spytał mnie, czy umiem służyć do mszy. Odrzekłem, że tak, co było prawdą, bo chociaż niegodziwy dziad źle się ze mną obchodził, jednakże nauczył mnie mnóstwa pożytecznych rzeczy, a między nimi i tego. Ostatecznie ksiądz wziął mnie do siebie.

Wpadłem z deszczu pod rynnę, bo mimo skapstwa, o którym wspominałem, ślepy dziad był w porównaniu z księdzem szczodry jak Aleksander Wielki. Jak gdyby w nim skupiło się sknerstwo całego świata. Nie wiem tylko, czy ono było mu wrodzone, czy też nabył je z suknią kąpielką.

Miał on stary kufer zamykany na klucz, który nosił zawsze przy sobie uwiązany na rzemyku ze skuwką, od małego szkaplerza. Kiedy przynoszono chleb z kościoła, on zaraz własnoręcznie składał go do kufra i natychmiast zamykał na klucz. W całym domu nie znajdowało się nic do jedzenia, jak to bywa zazwyczaj w innych domach: jakiś połec słoniny powieszony w kominie dla uwędzenia albo ser położony gdzieś na półkę w szafie albo koszyczek z resztkami chleba zebranymi ze stołu. Zdaje mi się, że gdybym nawet nie mógł z tego skorzystać, to już sam widok żywności byłby mnie posilił. Całego kramu był w domu wianek cebuli, a i to pod kluczem w izbie na górze. Z tego wianka wydawano mi porcję w ilości jednej cebuli na cztery dni. Jeżeli ktoś u nas zdarzył się w tym czasie, gdy prosiłem księdza o klucz, żeby iść po swą porcję, wtedy on, sięgnąwszy ręką w zanadrze, ostrożnie od wiażywał klucz i wręczając go, mówił:

– Weź i odnieś natychmiast. Ty ciągle tylko łasujesz!

Jak gdyby pod tym kluczem przechowywano wszystkie konserwy Walencji¹. Tymczasem w tej przeklętej izbie nie było nic prócz cebul zawieszonych na gwoździu; a i one były przez niego policzone, i cienko bym śpiewał, gdyby mnie licho skusiło przekroczyć wyznaczoną ilość. Słowem, zdychałem z głodu.

Nie odznaczając się szczególną łaską w stosunku do mnie, był on znacznie hojniejszy dla siebie samego. Zwykłą jego porcją na obiad i na wieczerzę było mięso za pięć blank. Prawda, dzielił się ze mną rosołem, ale mięsa – ani na ząb: tylko kawałek chleba. I klnę się na Boga, że nie była to nawet połowa tego, co potrzebowałem.

W tej miejscowości co sobota jada się baranie główki². I oto ksiądz posłał mnie po jedną, co kosztowało trzy marawedi. Ugotował ją, zjadł z niej oczy, język, potylicę, mózg, mięso z pyska, po czym oddał mi wszystkie obgryzione kości, a podając je na talerzu, rzekł:

– Naści, jedz i ciesz się, że żyjesz na świecie; życie twoje lepsze jest niż samego papieża.

„Niech ci Bóg da takie” – pomyślałem sobie.

Pod koniec trzech tygodni, które u niego przebyłem, doszedłem do takiego osłabienia, że z głodu chwiałem się na nogach. Jasno widziałem, że będę musiał zejść do grobu, jeżeli Bóg i umiejętność moja nie poratuje mnie. Nie byłem w stanie korzystać ze swej zręczności, bo nic mi się nie nawijało pod ręce, a gdyby się nawet coś nawinęło to przecież nie mogłem uczynić księdza tak ślepym, jak był mój pierwszy gospodarz (świeć Panie nad jego duszą, jeżeli umarł od tego uderzenia). Tamten bowiem, choć przebiegły, nigdy mnie widział, będąc pozbawionym cennego zmysłu wzroku. Ten zaś – przeciwnie. Nie znałem człowieka, który by miał tak bystry wzrok.

Kiedyśmy kwestowali, ani jedna blanka złożona na tackę nie uszła przed jego oczami. Jednym okiem patrzył na ludzi, drugim na mnie. Oczy jego biegały jak żywe srebro. Doskonale obliczał, ile dano blank, i jak tylko skończył kwestę, wyrywał mi z rąk tackę i stawiał na ołtarzu.

Tym sposobem przez cały czas, jaki u niego żyłem albo raczej marłem, nie udało mi się ściągnąć ani jednej blanki.

¹W „Konterfekcie zalotnej Andaluzyjski” znajdujemy takie wytłumaczenie tego pojęcia: „W tych dwóch słoikach jest woda anielska (wyciąg z różnych kwiatów, owoców i ziół aromatycznych, np. róży, kwiatu pomarańczy, jaśminu, cytryn i mirtu – wyj. M. M.), a w tym kwiat pomarańczowy, w większym koszyczku są daktyle, a drugi pełen jest kandyzowanych owoców – wszystko to z Walencji”. Francisco Delicado, *Konterfekt zalotnej Andaluzyjski*, tłum. Z. Szleyen, wyd. I, Kraków, WL, 1976, str. 125. W wyliczeniu tym można jeszcze podać cukierki i nugat.

²Podczas bitwy pod Navas de Tolosa (1212) ślubowano nie jeść mięsa w soboty. „Można było jeść natomiast głowy i szyje zwierząt i drobiu oraz wnętrzności, podroby, kopyta i słoninę”. Morel-Fatio, *Études sur l'Espagne*, III, str. 423.

Nigdy w winiarni nie kupowałem mu wina ani za blankę, bo on korzystał zazwyczaj z tego, które mu zbywało od mszy, a schowawszy je do kufra, tak dzielił, że wystarczało na cały tydzień. Aby zaś ukryć swą straszną chciwość, mawiał:

– Widzisz, chłopcze, księża muszą być wstrzemięźliwi w pokarmach i napojach, dlatego też ja sobie nie dogadzam jak inni.

Nicpoń kłamał bezczelnie, bo na brackich ucztach i na stypach, gdzie jedliśmy na cudzy koszt, obżerał się jak wilk, a pił za dziesięciu.

Właśnie wspomniałem o stypach. Niech Bóg mi to daruje, że choć nigdy nie byłem wrogiem rodu ludzkiego, wówczas pragnąłem i błagałem Boga, aby co dzień umierał choć jeden człowiek; na stypach bowiem dobrze się jadło i to mnie ratowało. Kiedyśmy chodzili do chorych z sakramentami, a zwłaszcza przy ostatnim namaszczeniu, gdy ksiądz zalecał obecnym modlić się, ja nie byłem tam na szarym końcu. Całym sercem i całą duszą gorąco prosiłem Boga – nie żeby, jak to mówią, stała się nad chorym Jego wola, lecz aby wziął go z tego świata.

Jeżeli któryś z chorych miał się lepiej, wówczas ja – wybac mi Panie Boże – tysiąc razy wyprawiałem go do diabła; natomiast ileż to błogosławieństw posyłałem temu, kto umierał! Przez cały czas, jaki tam byłem, a trwało to sześć miesięcy, zmarło tylko dwadzieścia osób. Jestem przekonany, że ja ich dobiłem, albo raczej – że oni zmarli wskutek moich nalegań; bo Pan Bóg, widząc zapewne moje straszne i długotrwałe przymieranie, postanowił ich uśmiercić, aby mnie ratować.

Na to, co wówczas cierpiałem, nie było żadnego środka; bo jeżeli nawet pożywiłem się w te dni, gdy mieliśmy pogrzeb, to w dni, kiedy brakowało nieboszczyka, przyzwyczajony już do sutego jedzenia, wracałem do mej codziennej głodówki i jeszcze silniej ją odczuwałem. Znikąd nie spodziewałem się ulgi, tylko od śmierci, o którą prosiłem Boga czasem dla siebie, czasem dla drugich; lecz nigdy jej nie zobaczyłem, choć wciąż koło mnie krążyła.

Coraz częściej myślałem, żeby odejść od tego chciwego gospodarza, ale porzucałem ten zamiar z dwu powodów. Po pierwsze dlatego, że nie miałem zaufania do moich nóg, które osłabły od nieustannej głodówki; a po wtóre – rozmyślałem sobie w ten sposób:

Miałem dwu gospodarzy; pierwszy morzył mnie głodem, a ja, porzuciwszy go, trafiłem na tego, co też głodem doprowadził mnie już nad grób, przeto jeżeli i od tego odejdę, trafię na jeszcze gorszego. Cóż mnie oczekuje, prócz śmierci?

I oto dlaczego bałem się ruszyć, będąc przekonany, że dalej pójdzie mi jeszcze gorzej i na koniec znajdę się tam, skąd już nie będzie słychać o Łazarzu.

Kiedy byłem w takim utrapieniu, od którego racz zachować Panie każdego prawego chrześcijanina, i widząc się w coraz gorszym stanie, nie wiedziałem, co czynić – zdarzyło się pod nieobecność mojego niegodziwego i skąpego gospodarza, że przypadkiem, pojawił się u naszych drzwi kotlarz. Myślę, że był to anioł,

zesłany mi przez Boga, w jego postaci. Spytał mnie, czy nie trzeba czego naprawić.

– Ze mną byłoby coś do roboty i dobrze byś się natrudził, gdybyś zaczął mnie naprawiać – mruknąłem do siebie tak, żeby on nie słyszał. Lecz ponieważ czasu było za mało, aby go tracić na żarty, rzekłem jakby natchniony przez Ducha Świętego:

– Wujku, zgubiłem klucz od tego kufra i boję się, że mój gospodarz będzie mnie bił. Błagam was, zobaczcie, czy między tymi, co nosicie, nie ma takiego, co by się nadał, a już ja wam zapłacę.

Anioł-kotlarz zaczął próbować klucze jeden po drugim z wielkiego pęka, a ja mu pomagałem cichą modlitwą. Anim się spostrzegł, gdy nagle jakbym samego Boga zobaczył – ukazały się krągłe bochenki. Skoro kufer był otwarty, rzekłem:

– Nie mam pieniędzy, żeby wam zapłacić za klucz, ale weźcie sobie stąd zapłatę.

Kotlarz wybrał sobie biały chleb, jaki mu się wydał najlepszy, i bardzo zadowolony oddał mi klucz. Ja się bardziej cieszyłem od niego, jednakże niczego nie tknąłem dla niepoznaki. A poza tym gdy się ujrzałem posiadaczem takiego majątku, zdawało mi się, że głód nie może mi już nigdy zagrozić. Wrócił mój przeklęty gospodarz, a Bóg był łaskaw, że nie zauważył ofiary, którą anioł-kotlarz zabrał.

Nazajutrz, jak tylko gospodarz wyszedł z domu, otworzyłem mój chlebowy raj, a schwyciwszy jeden bochenek rękami i zębami, zmłóciłem go w dwa pacierze. Zamknąwszy starannie kufer, z radością zacząłem zamiatać izbę. Zdawało mi się, że tym sposobem raz na zawsze poprawiłem moją smutną dolę, toteż cały dzień i następny spędziłem w wesołym usposobieniu.

Ale szczęściu memu nie było sądzone trwać długo. Na trzeci dzień zatrzęsła mną prawdziwa febra, gdy w złą godzinę ujrzałem nad kufrem tego, co morzył mnie głodem. Grzebał w nim i przewracał, rachując i przeliczając chleby. Udawałem, że nie zwracam uwagi, lecz w duszy wygłaszałem zaklęcia i modlitwy:

– Święty Janie, ośleń go!³

Wiele czasu zeszło mu na obliczaniu, przy czym dni rachował na palcach, aż wreszcie rzekł:

– Gdyby ten kufer nie był tak dobrze strzeżony i zamknięty, rzekłbym, że mi ktoś ukradł chleb; jednakże od dziś dnia, aby zapobiec wszelkim podejrzeniom, będę pilnie rachować bochenki. Teraz mam dziewięć całych i kawałek.

„Bodaj cię dziewięć chorób nawiedziło” – pomyślałem sobie.

Zdawało mi się, gdy to mówił, że strzała myśliwca przeszła mi serce, a żołądek począł zawczasu cierpieć głodowe kurcze, czując się skazanym na dawną dietę. Skoro tylko gospodarz wyszedł z domu, na pociechę otworzyłem kufer,

³Święty Jan był patronem służby. W jego dniu zawierano bądź rozwiązywano roczne umowy ze służącymi.

a widząc chleby, zacząłem przyglądać się z nabożeństwem, nie śmiać ich tknąć. Przeliczyłem, czy czasem sknera nie pomylił się na moje szczęście, lecz rachunek jego okazał się dokładniejszy, niż tego pragnąłem. Cóż mogłem zrobić, najwyżej to tysiąc razy je ucałować i z rozpoczętego bochenka odkrajać cieniutką kromkę. O tej odrobinie spędziłem ów dzień, już nie tak wesoło jak poprzedni.

Jednakże głód wzrastał, zwłaszcza z tego powodu, że żołądek mój przez dwa lub trzy dni ostatnie przywykł do większej ilości chleba. Po prostu zdychałem. Gdy byłem sam w domu, wciąż tylko otwierałem i zamykałem kufer, spoglądając na to Ciało Pańskie. Atoli Pan Bóg, który pomaga uciśnionym, widząc mnie w tak rozpaczliwym położeniu, przypomniał mi pewien fortel. Zacząłem rozmawiać w ten sposób: „Kufer ten jest bardzo stary i popękany, są w nim dziury, choć niewielkie; można by pomyśleć, że myszy włożą do niego i niszczą chleb. Ściągnąć cały bochenek – nie godzi się, bo mój dręczyciel zauważy brak. Ale taka rzecz ujdzie”.

Zacząłem kruszyć chleb na jedną ze złożonych tam niezbyt kosztownych serwet, potem zostawiłem ten bochenek, a wziąłem inny – i w ten sposób nakruszyłem po trochu z trzech lub z czterech; wreszcie zjadłem okruchy, na podobieństwo pigulek, i tym się nieco pocieszyłem. Tymczasem ksiądz, jak tylko wrócił na obiad i otworzył kufer, ku swemu strapieniu zobaczył, co się stało i od razu pomyślał, że to myszy nadgryzły mu chleb, bo było to udane bardzo podobnie do tego, jak zwykle robią myszy. Obejrzał cały kufer od góry do dołu i zobaczył w nim kilka dziurek, więc uznał, że przez nie wlażyły one do środka. Zawołał mnie i rzekł:

– Łazarzu, patrz, patrz, jakiemu rabunkowi uległ dziś w nocy nasz chleb!

Udałem bardzo zdziwionego i spytałem, co by to mogło być. Odpowiedział:

– Co to być może? Myszy, które niczemu na świecie nie darują.

Siedliśmy do obiadu, a Panu Bogu spodobało się, żebym i ja na tym coś skorzystał. Gospodarz odkrajał mi więcej chleba niż te ogryzki, jakie zazwyczaj mi dawał, ponieważ wykrajał nożem wszystko, co uważał za splugawione przez myszy. Dał mi to, mówiąc:

– Zjedz to, przecież mysz to czyste stworzenie.

I oto jak tamtego dnia zwiększyła się moja porcja, co było dziełem moich rąk albo raczej moich długich palców. Tak skończyliśmy obiad, choć ja go, prawdę mówiąc, nawet dobrze nie zacząłem.

Wnet mnie ogarnął znowu przestach, gdy zobaczyłem, jak mój gospodarz chodzi po izbie, starannie wyciągając gwoździe ze ścian i wyszukując deseczki, aby zakryć i zabić wszystkie dziury w starym kufrze.

„O, mój Boże! – krzyknąłem wówczas. – Na jaką gorzką dolę i nieszczęście rodzimy się i jak krótko trwają uciechy naszego boleściwego żywota! Niestety, myślałem, że takim prostym i nędznym środkiem zdołam nieco zmniejszyć moje cierpienia, spodziewałem się być zadowolony i wesoły. Ale mój zły los nie chciał tego i zbudził czujność niegodziwego pana, skłoniwszy go do większej ostrożno-

ści, niżby ją miał sam przez się (a skąpcom nigdy jej nie brakuje). Teraz zabijając dziurki w kufrze, zamyka tym drzwi przed moją jedyną pociechą, a otwiera je dla moich cierpień”.

Tak się skarżyłem w duchu, kiedy mój gorliwy cieśla skończył pracę, używszy mnóstwo gwoździ i deseczek, po czym rzekł:

– Teraz, zdradzieckie panie myszy, będziecie musiały zmienić swój sposób życia, bo w tym domu niewiele wskóracie.

Gdy tylko wyszedł, skoczyłem obejrzeć jego robotę i przekonałem się, że w nieszczęsnym starym kufrze nie została ani jedna dziurka, nawet taka, żeby komar mógł się przedostać. Otworzyłem kufer moim, teraz już zbyt cieżkim kluczem, nie spodziewając się wyciągnąć z tego jakiegokolwiek korzyści. Zobaczyłem dwa lub trzy napoczęte bochenki, te same, które gospodarz uważał za nadgryzione przez myszy. Mimo tego z wielką ostrożnością skroiłem z nich po kromeczce.

Jako że głód, który jest dobrym nauczycielem, nie opuszczał mnie, dnie i noce przemyślałem, w jaki sposób utrzymać się przy życiu. Sądzę, że to on oświecił mnie i pozwolił wynaleźć te nieszczęsne fortele, gdyż jak mówią, głód zaostża bystrość umysłu, a sytość ją stępia, tak było i ze mną.

Pewnej bezsennej nocy, gdy rozmyślałem, jakby się dostać do zawartości kufra, usłyszałem, że mój gospodarz śpi. Łatwo to było zauważyć po jego chrapaniu i głośnym stękaniu, co czynił zawsze podczas snu. Wstałem ostrożnie i stosownie do planu, jaki sobie za dnia obmyślałem, wziąłem stary nóż zostawiony umyślnie w wiadomym miejscu. Udałem się do nieszczęsnego kufra i tam dłubiąc nożem jak świderek, próbowałem to z tej, to z owej strony, gdzie drewno stawia najłagodniejszy opór. Ponieważ stary grat, służąc lat tyle, stracił moc i trwałość, a nadto był spróchniały i stoczony przez robactwo, przeto za moją sprawą pojawiła się w jego boku duża dziura. Zrobiwszy ją, cichutko otworzyłem zraniony kufer, a znalazłszy napoczęty chleb, postąpiłem z nim, jak to było wyżej opisane. Pocięszywszy się nieco tą odrobiną, udałem się na mój barłóg, na którym wytchnąłem i zasnąłem na chwilę, co mi się rzadko zdarzało: bezsenność przypisywałem wycieńczeniu z głodu. Tak też być musiało, bo teraz wszystkie kłopoty króla Francji nie pozbawiłyby mnie snu⁴.

Nazajutrz gospodarz zobaczył szkodę wyrządzoną przeze mnie w chlebie – i dziurę przewierconą w kufrze. Zaczął przeklinać myszy, mówiąc:

– Co ja mam na to powiedzieć? Przecież do tej pory nigdy tego domu nie trzymały się myszy!

Niewątpliwie mówił prawdę, bo jeżeli był w królestwie jakiś dom ubezpieczony od myszy, to właśnie nasz; zazwyczaj bowiem myszy nie trzymają się miejsca, gdzie nie ma nic do jedzenia. Gospodarz zaczął szperać po całym domu, szukając

⁴Powiedzenie zwyczajowe, a zarazem aluzja do klęski Franciszka I pod Pawią (1525) i jego uwięzienia w Madrycie.

gwoździ i deseczek do załatania dziury. Nastąpiła noc, a z nią i jego spoczynek. Ja wnet byłem na nogach z moim przyrządem i rozdłubywałem nocą wszystko, co on pozatykał za dnia.

W ten sposób tak gorliwie wzięliśmy się do rzeczy, że można było bez omyłki rzec: kiedy jedne drzwi zamykają się, drugie się otwierają. Wyglądało to tak, jakbyśmy obaj z zapalem pracowali nad płótnem Penelopy⁵, bo wszystko, co on utkał za dnia, ja rozsnuwałem nocą. W kilka dni i nocy doprowadziliśmy biedną spizarkę do takiego stanu, że każdy, mówiąc o niej, nazwałby ją raczej starym puklerzem z dawnych czasów, a nie kufrem – tak była przystrojona ćwiekami i gwoździkami.

Gdy gospodarz mój zobaczył, że żaden z jego środków nie pomaga, rzekł:

– Ten kufer jest popsuty i zrobiony z tak starego i spróchniałego materiału, że nie ma myszy, która by go nie przegryzała, i niewielki będzie z niego pożytek, jeżeli nadal go będziemy używać. Ale jaki bądź on jest, zawsze byłoby gorzej, gdyby go wcale nie było. Musiałbym dać za inny trzy lub cztery reale. Najlepszym środkiem, jaki wymyśliłem, będzie dobrać się do przeklętych myszy od wewnątrz, jeżeli nie można inaczej.

Niebawem pożyczył pułapkę na myszy i umieścił w niej kawałki sera wyproszone u sąsiadów, w ten sposób „kot” czyhał nieustannie wewnątrz kufra. Ten ser był dla mnie nieoczekiwanym wsparciem, bo chociaż niezbyt potrzebowałem przypraw do wzbudzenia apetytu, jednakże z zadowoleniem korzystałem z tych kawałków sera, które wybierałem z pułapki, przy czym nigdy nie zapomniałem pogryźć i chleba.

Gospodarz, widząc, że chleb jest pogryziony przez myszy i ser wyjedzony, gdy tymczasem mysz, która go zjadła, nie dawała się złapać, przeklinał swój los i zapytywał sąsiadów, jak to być może, że ser zjedzony i wyciągnięty z pułapki, gdy tymczasem mysz nie złapała się i nie ma jej tam, choć klapka jest zatrzaśnięta?

Sąsiedzi twierdzili, że to nie mysz sprawia mu tyle szkody, bo przecież byłaby się choć raz złapała. Jeden sąsiad rzekł:

– Przypominam sobie, że w waszym domu dawniej pokazywała się żmija i to niewątpliwie musi być jej robota. To się teraz rozumie: ponieważ jest długa, przeto może schwycić przynętę i wypełznąć, choć nawet kłapa zapadnie; nie wchodzi ona bowiem cała do pułapki.

Słowa jego przekonały nas wszystkich i tak bardzo wystraszyły mego pana, że od tej pory źle sypiał i wciąż nasłuchiwał, biorąc za żmiję każdego robaczka, co nocą toczył drewno. Zrywał się natychmiast na równe nogi i pałą, którą

⁵Penelopa, żona Odyseusza, która przez dwadzieścia lat oczekiwała powrotu męża, zwodząc ubiegających się o jej rękę zalotników przy pomocy podstępny: przyrzekła wybrać jednego z nich, kiedy ukończy tkąć szatę dla teścia; aby odwlec ukończenie pracy, pruć nocą to, co utkała w dzień.

od czasu tej rozmowy kładł zawsze u wezglowia, zadawał okropne ciosy grzesznemu kufrowi, chcąc wypłoszyć zeń żmiję. Hałasem, jaki robił, budził sąsiadów i mnie zasnąć nie dawał. Zbliżał się do mego siennika i wywracał go razem ze mną, przypuszczając, że żmija przypełzła do mnie i zawinęła się w słomę albo w sajan. Mówili mu bowiem, że tym zwierzętom zdarza się po nocach w poszukiwaniu ciepła wpełzać do kołysek, gdzie znajdują się dzieci, a nawet kąsać je niebezpiecznie.

Ja w większości wypadków udawałem śpiącego, a on mówił mi nazajutrz rano:

– Chłopcze, czyś ty dziś nocą nic nie słyszał? Łapałem żmiję; nawet myślę, że ona schowała się w twej pościeli, bo żmije są zimnokrwiste i szukają ciepła.

– Niech Pan Bóg broni, żeby mnie czasem nie ugryzła – mówiłem. – Ja strasznie się boję.

Tak często wstawał i budził się ze snu, że, na Boga, żmija albo żmij nie śmiał gryźć chleba w nocy ani nie miał odwagi podchodzić do kufra. Za to w dzień, kiedy gospodarz był w kościele albo gdzieś w pobliżu, robiłem moje wypadki. Widząc ciągle szkody i nie mogąc znaleźć na nie skutecznego sposobu, pan mój łąził po nocach jak duch.

Obawiałem się, żeby przy tych poszukiwaniach nie przyłapał mnie z kluczem, który kładłem pod siennik. Dlatego zdało mi się najprzezorniej kłaść go na noc w usta. Kiedy mieszkałem u ślepego, zrobiłem sobie z ust taki woreczek, że czasem zdarzało mi się trzymać w nim po dwanaście i piętnaście marawedi, wszystko w półblankach, i nawet mi to nie przeszkadzało w jedzeniu. Inaczej nie mógłbym posiąść ani jednej blanki, ponieważ ten przeklęty ślepiec niechybnie rzuciłby się na nią, przeszukując troskliwie wszystkie szwy i łąty mego ubrania.

Otóż, jak to powiedziałem, co noc kładłem sobie klucz do ust i zasypiałem spokojnie, nie przypuszczając, że go znajdzie mój diabelski gospodarz. Ale gdy komu sądzone jest nieszczęście, na nic się nie zdadzą wszystkie ostrożności. Przeznaczenie albo raczej grzechy moje sprawiły, że pewnego razu, gdy spałem nocą włożywszy klucz w usta, które musiałem uchylić, ułożył się on tym sposobem, że powietrze przy oddychaniu podczas snu wpadało do dziurki i wydobywał się głośny świst.

Tego było trzeba na moje nieszczęście. Pan mój, raptownie przebudzony z głębokiego snu, usłyszał dźwięk i niewątpliwie domyślił się, że to syk żmii. I rzeczywiście, był on do niego bardzo podobny.

Wstał cichutko i z kijem w rękach po omacku skierował się według syku żmii ku mnie, z wielką ostrożnością, żeby jej nie spłoszyć. Podszedłszy bliżej, pomyślał, że ona szukając ciepła zagrzebała się w słomę, na której leżałem. Wzniósłszy więc pałkę wysoko, z takim obliczeniem, aby żmija zginęła od jednego uderzenia, z całej siły wymierzył mi cios w głowę tak potężny, że straciłem przytomność.

Zrozumiałwszy, że mi rozbił głowę (jak to sam później opowiadał), musiałem bowiem jęknąć od tak strasznego ciosu, zbliżył się do mnie i głośno wołając po

imieniu, starał się mnie ocucić. Ale dotknąwszy ręką, namacał broczącą krew. Pojął wówczas, jaką ranę mi zadał, i szybko pobiegł po ogień. Wróciwszy ze światłem, zobaczył mnie jęczącego, a w mych ustach tkwił klucz, którego nie wypuściłem ani na chwilę. Połowa klucza sterczała mi z ust takim sposobem, jak wówczas, gdy na nim świstałem.

Tępiciele żmij, zdumiony i przerażony, nie mógł pojąć, co by to mógł być za klucz; lecz gdy go wyjął z ust i obejrzał, wnet zrozumiał, co to znaczy, ponieważ nacięcia na nim nie różniły się wcale od jego klucza. Natychmiast pobiegł go przymierzyć i w ten sposób odkrył mój występki. Okrutny myśliwy musiał sobie powiedzieć: „Znalazłem myszy i żmiję, które wojowały ze mną i niszczyły mój majątek”.

O tym, co się działo w ciągu następnych trzech dni, nie mogę wiarygodnie opowiedzieć, ponieważ spędziłem je, że tak powiem, w brzuchu wieloryba⁶. To zaś, co powtórzyłem, słyszałem, wróciwszy do przytomności, od mego pana, który jak najdokładniej opowiadał całe zdarzenie każdemu, ktokolwiek doń przyszedł.

Po trzech dniach odzyskałem przytomność, a widząc, że leżę na swym sienniku z głową całą w plastrach i maści, z przerażeniem krzyknąłem:

– Co to takiego?

Okrutny klecha odpowiedział:

– Daję słowo, że polowałem na myszy i żmiję, które mnie rabowały.

Spojrzałem po sobie, a widząc się w tak rozpaczliwym stanie, domyśliłem się nieszczęścia.

Tymczasem przyszła jakaś baba umiejająca zamawiać choroby oraz kilku sąsiadów. Zaczęli zdejmować mi z głowy szmaty i smarować miejsca rozbite pałką. Znalazszy mnie przytomnego, bardzo się cieszyli, mówiąc:

– No, przecież odzyskał przytomność. Bóg da, że mu nic nie będzie.

I wtedy znów zaczęli opowiadać o moich cierpieniach i bardzo się z nich śmiali, a ja nieborak płakałem. Dawali mi wówczas jeść, bo bardzo osłabłem z głodu, i ledwie udało im się mnie wyleczyć. Tak pomaleńku, na wpół zdrowy, mogłem wstać po jakich dwóch tygodniach i wyszedłem z niebezpieczeństwa, choć nie uniknąłem głodu.

Zaraz na drugi dzień, jak wstałem, pan mój wziął mnie za rękę, wyprowadził za drzwi i postawiwszy na ulicy, rzekł:

– Łazarzu, od dnia dzisiejszego już nie jesteś moim, lecz swoim. Szukaj sobie gospodarza i ruszaj z Panem Bogiem, ja nie potrzebuję takiego gorliwego pachotka. Musiałeś być chyba za przewodnika u jakiegoś ślepeca.

⁶Aluzja do słów Ewangelii według świętego Mateusza: „Albowiem jak był Jonasz w brzuchu wieloryba trzy dni i trzy noce, tak będzie Syn Człowieczy w sercu ziemi trzy dni trzy noce”. (XII, 40).

I żegnając się znakiem krzyża, jakbym był opętany przez diabła, zawrócił do domu i zamknął drzwi.

Rozdział 3

Jak Łazarz zgodził się na służbę do szlachcica i co go tam spotkało

Takim sposobem pomimo słabości zmuszony byłem zebrać wszystkie siły i pomału, z pomocą dobrych ludzi, dowlokłem się do sławnego miasta Toledo; tam, dzięki łasce Bożej, w dwa tygodnie zblizniła mi się rana. Póki byłem chory, dawali mi jeszcze jakie takie wsparcie, lecz odkąd się wylizałem, wszyscy zaczęli mówić:

– Ty wałkoniu, próżniaku! Szukaj, szukaj sobie pana! Zgódź się do służby!

„A gdzież ja tego pana znajdę? – myślałem sobie. – Chyba Bóg stworzy go teraz, jak stworzył ongi cały świat”.

I oto gdy w ten sposób tułałem się, chodząc od jednych drzwi do drugich i wypraszając sobie dość skąpe pożywienie (albowiem miłosierdzie już odleciało do nieba), natknął mnie Bóg na jakiegoś szlachcica. Szedł ulicą przystojnie ubrany, gładko uczesany; postawa jego i chód pełne były godności. Spojrzał na mnie, ja na niego – i spytał:

– Chłopcze, szukasz służby?

– Tak, panie! – odrzekłem.

– No to chodź ze mną – powiedział. – Bóg wyświadczył ci wielką łaskę, wysławszy cię na moje spotkanie. Zapewne dziś gorąco się modliłeś.

Poszedłem za nim, dziękując Bogu, że mnie wysłuchał. Szlachcic z wyglądu i z ubrania wydał mi się właśnie takim panem, jakiego mieć pragnąłem.

Był jeszcze ranek, gdy spotkałem się z moim trzecim chlebobawcą. Poprowadził mnie prawie przez całe miasto. Mijaliśmy rynki, gdzie sprzedawano chleb i inną żywność. Myślałem tylko i marzyłem, że oto pan mój zechce naładować mi na plecy to, co tam sprzedawano; była to bowiem właściwa pora zakupów. Lecz pan mój prędkim krokiem omijał stragany.

– Zapewne on tu nie znajduje nic, co by go zadowalało – myślałem – i chce kupić żywność na drugim końcu miasta.

Tak przechodziliśmy aż do godziny jedenastej. Wówczas wstąpił on do wielkiego kościoła, a ja za nim. Tam zobaczyłem, z jak pobożną miną słuchał mszy i innych nabożeństw, póki się wszystko nie skończyło i ludzie nie zaczęli się rozchodzić. Wówczas i my wyszliśmy z kościoła i szybkim krokiem ruszyliśmy z powrotem. Radośnie biegłem za nim, ucieszony, że nie zajmujemy się skupowaniem żywności. Byłem przekonany, że mój nowy gospodarz należy do takich ludzi, co kupują żywność na zapas i że posiłek już czeka gotowy, jak tego pragnąłem i potrzebowałem.

Właśnie zegar wybił godzinę pierwszą po południu, kiedyśmy doszli do domu, przed którym pan mój zatrzymał się ze mną. Odrzuciwszy płaszcz na lewe ramię wydobyl z rękawa klucz i otworzył drzwi. Weszliśmy do domu z ciemną i ponurą sienią, która przejmowała wchodzących strachem, choć wewnątrz ukazało się małe podwórko i wcale przyzwoite pokoje.

Gdyśmy weszli, pan zdjął z siebie płaszcz i spytał, czy mam czyste ręce, aby go strząsnąć i złożyć. Uczyniliśmy to obaj. Zdmuchnąwszy starannie kurz z ławy obok stojącej, pan położył na niej płaszcz, po czym siadł sam na drugim końcu i zaczął mnie drobiazgowo wypytywać, skąd i jak dostałem się do tego miasta. Opowiadanie moje trwało dłużej, niżbym tego pragnął, bo zdawało mi się, że ze względu na porę o wiele skuteczniej byłoby kazać nakryć do stołu i rozlać zupę do talerzy, niż wypytywać mnie o takie rzeczy. Mimo tego zaspokoilem jego życzenie, zmyślając, jak mogłem najlepiej, wiadomości z mego życia, opowiadając o moich zaletach, a zataiwszy umyślnie wszystko inne, co sądziłem za niewłaściwe do wyznań. Potem czas pewien siedział milcząc. Widziałem w tym zły znak, bo była już blisko druga godzina, a on tymczasem nie zdradzał do jedzenia większej ochoty niż nieboszczyk. Poza tym drzwi zamknięte były na klucz, z góry ani z dołu nie było słyhać kroków żywego człowieka w całym domu. Przed oczami miałem tylko nagie ściany; nie widziałem ani krzesła, ani zydlu, ani stołu, ani nawet skrzyni, jak u poprzedniego gospodarza. Dom zdawał się zaczarowany.

Przesiedziawszy jakiś czas w milczeniu, pan zapytał mnie:

– Jadłeś ty, chłopcze?

– Nie, proszę pana – powiedziałem – bo kiedy pana spotkałem, nie było jeszcze ósmej rano.

– Jednakże choć było wcześniej, ja już spożyłem śniadanie – odrzekł mi – więc na wszelki wypadek uprzedzam cię, że nie będę jadł do wieczora. Dlatego radź sobie, jak chcesz, a potem będziemy wieczerzać.

Niech mi uwierzy Wasza Miłość, że ledwo ustałem na nogach, usłyszawszy odeń te słowa, i omal nie upadłem – nie tyle z głodu, ile z przekonania, że los mnie tak prześladuje. Znów stanęły przede mną wszystkie troski i począłem zawczasu oplakiwać moje męczarnie. Przypomniały mi się rozmyślenia, kiedy to nie mogłem zebrać się na odejście od księdza, sądząc, że choć ten gospodarz zły

jest i sknera, ale przypadek może mnie zetknąć z jeszcze gorszym. Gorzko opłakiwałem me życie przeszłe, pełne utrapień i nieuchronną bliską śmierć.

Pomimo tego udałem zucha, jak mogłem najlepiej, i rzekłem:

– Panie, ja jestem jeszcze małym chłopcem, toteż nie bardzo dbam o jadło; dzięki Bogu mogę się pochwalić najmniejszą gardzielą między rówieśnikami, za co też chwalili mnie wszyscy gospodarze, u których służyłem.

– To wielka cnota – odrzekł – i za to będę cię więcej lubił. Obżeranie się jest tylko właściwością wieprzów, a ludzie porządni powinni jeść umiarkowanie.

„Rozumiem cię doskonale – pomyślałem sobie. – Lecz niech będzie przeklęte lekarstwo i dobrodziejstwo, które wszyscy moi chlebodawcy znajdują w głodzie”.

Zaszyłem się w kącie i wyciągnąłem z zanadrza kilka kawałków chleba pozostałych jeszcze z tego, co mi ofiarowano jako jałmużnę. On zaś, zobaczywszy to, rzekł mi:

– Chodź tu, chłopcze! Co ty jesz?

Podszedłem do niego i pokazałem chleb. On wybrał sobie z trzech kromek, jakie miałem, największą i najlepszą – i rzekł:

– Na honor, ten chleb wygląda mi wcale dobrze!

– Gdzie on tam dobry! – powiadam.

– Ależ nie, naprawdę! – zawołał. – Skąd ty go masz? Czy on czystymi rękoma wyrobiony?¹

– Tego to już ja nie wiem – odrzekłem. – Dość, że smak jego nie budzi we mnie wstrętu.

– Widocznie taka już wola boża – rzekł mój biedny pan i podniósł kromkę do ust, zaczął ją gryźć z takim zapałem, z jakim i ja młóciłem drugą.

– Dlaboga! – mówił. – Doskonały ten chleb!

Domyśliłem się, na którą nogę on chroma, a widząc go w takim usposobieniu, że chętnie pomógłby mi dokończyć ostatnią kromkę, gdyby swoją skończył wcześniej ode mnie, pospieszyłem się sam, i w ten sposób skończyliśmy jeść prawie że razem. Pan mój starannie strzepnął ręką kilka drobniutkich okruszyn, które mu pozostały na piersi. Następnie wszedłszy do sąsiedniego pokoju, wyniósł stamtąd stary dzbanek z utraconą szyjką, popił z niego i zaprosił mnie, bym poszedł za jego przykładem.

Udając wstrzemięźliwego, rzekłem:

– Proszę pana, ja wina nie pijam!

– To woda – odpowiedział mi – możesz pić śmiało.

Wziąłem dzbanek i trochę z niego upiłem, choć pragnienia wcale nie czułem.

¹Tzn. rękami starych chrześcijan. Nazwą tą określali sami siebie Hiszpanie szczytający się całkowitym brakiem żydowskich, arabskich lub pogańskich przodków.

Tak przesiedzieliśmy do zmroku, gwarząc o różnych rzeczach. On mnie wy-
pytywał, ja zaś odpowiadałem na jego pytania, jak umiałem najlepiej. Potem za-
prowadził mnie do tego pokoju, gdzie stał dzbanek, z którego piliśmy, i rzekł mi:

– Stań tutaj, chłopcze, i przyjrzyj się, jak się ściele to łóżko, abyś na przyszłość
sam umiał je słać.

Stanąłem z jednego końca, on z drugiego i rychło przyrządziliśmy nędzną po-
ściel, z którą właściwie nie było co robić. Składała się na nią trzciniowa plecionka
oparta na ławkach; na plecionce rozścielało się brudny materac, tak dawno nie
prany, że stracił barwę materaca, a przy tym wełny było w nim znacznie mniej,
niż się należało. Posłaliśmy go, starając się wstrząsnąć, aby był miękki; lecz
na nic to się nie zdało, bo trudno aby to, co twarde, stało się miękkie. Przeklęty
materac tak słabo był wypchany, że gdyśmy go położyli na plecionce, wszyst-
kie trzciny sterczały spod niego na kształt żeber najchudszej szkapki. Z wierzchu
materaca położyliśmy starą i dziurawą derkę nieokreślonej barwy.

Kiedy pościel była gotowa i noc już zapadła, pan mój rzekł:

– Łazarzu, już późno jest, a stąd do rynku porządny kawał drogi; prócz tego
po mieście wąża się mnóstwo włóczągów, którzy w nocy zajmują się kradzieżą.
Przecierpmy jak bądź do rana, a gdy dzień nastanie, Bóg nas wynagrodzi. Nie
robiłem zapasów żywności, bo byłem sam, a przedtem co dzień jadałem obiady
na mieście. Teraz będziemy się urządzać inaczej.

– Proszę pana – powiedziałem – niech wielmożny pan nie troszczy się o mnie,
bo ja potrafię bez jadła wytrzymać jedną noc i nawet więcej, gdy będzie trzeba.

– I zdrowszy będziesz – odparł mi. – Bo jak to dziś jeszcze mówiliśmy sobie:
na długie życie nie ma na świecie lepszego sposobu, jak mało jadać.

„No, jeżeli na tym polega sekret – rzekłem do siebie – to ja nigdy nie umrę, bo
zawsze musiałem trzymać się tej zasady, i spodziewam się, że ten pech nie opuści
mnie do końca życia”.

Pan mój położył się do łóżka, wsunawszy pod głowę spodnie i kurtkę, a mnie
kazał położyć się w nogach, co też uczyniłem. Ale widocznie ktoś przeklął mój
sen. Trzcina pod materacem i moje sterczące kości przez całą noc nie przestały
walczyć z sobą i rozbijać się jedno o drugie. Myślę, że z udręczeń, chorób i głodu
w ciele moim nie zostało ani funta mięsa; na domiar złego w dniu tym prawie
nic nie jadłem i dlatego męki znośiłem z głodu, który nie bardzo przyjaźni się
ze snem. Tysiąc razy przeklinałem tej nocy siebie (wybacz mi to, Panie Boże)
i mój nieszczęsny los, a bojąc się ruszyć, aby pana mego nie zbudzić, wielokrotnie
błagałem Boga o śmierć.

Wstaliśmy skoro nastąpił poranek. Pan mój zaczął trzepać i czyścić spodnie,
kurtkę, kaftan i płaszcz, przy czym ja mu posługiwałem i podałem wody do mycia
rąk. Ubrał się, uczesał i zawiesił szpadę na pendencie, mówiąc przy tym:

– O gdybyś ty wiedział, chłopcze, co to za broń! Nie oddałbym jej za złoto całego świata. Żadna ze szpad mistrza Antonia nie jest z tak znakomitej stali jak ta².

I wyciągnąwszy ją z pochwy, a dotykając palcami, mówił:

– Zobacz na to. Zaręczam, że przetnę nią kłak wełny w powietrzu.

„A ja zaręczam, że swymi zębami, choć nie są ze stali, przegryzę czterofuntowy bochenek” – pomyślałem sobie.

Pan mój wsunął z powrotem szpadę, a u pasa zawiesił różaniec z grubych paciorków. Wyprostowany, poruszając z godnością głową i tułowiem, skierował się ku drzwiom. Koniec swojego płaszcza zarzucał na lewe ramię bądź trzymał go pod pachą, prawą ręką wziął się pod bok. Wychodząc powiedział mi:

– Łazarzu, przez czas, gdy będę na mszy, pilnuj domu, pościel łóżko i przynieś dzbanek wody z rzeki, która tu jest w bliskości. Drzwi zamknij na klucz, żeby nam czego nie ukradli, i powieś go tu na zawiasie, abym mógł wejść, jeżeli wrócę.

I poszedł ulicą z tak szlachetnym obliczem i postawą, że kto go nie znał, pomyślałby, iż to jest najbliższy krewny hrabiego de Arcos³ lub co najmniej jego szatny.

– Niech będzie błogosławione imię Pańskie – mówiłem sobie – za to, że Bóg, zsyłając chorobę, daje i lekarstwo. Któż, spotkawszy mego pana, nie pomyśli, sądząc z dostatniej powierzchowności, że on nie spożył wczoraj doskonałej wierzery, nie wyspał się na miękkiej pościeli i nie podjadł sobie syto dzisiaj rano? Wielkie są, Panie, twoje tajemnice, zakryte przed oczami ludzi. Kogóż bowiem nie zwiedzie jego dobre usposobienie, przyzwoite ubranie i płaszcz? I kto przypuści, że ten szlachetny człowiek spędził cały dzień wczorajszy o kawałku wyżebranego chleba, który sługa jego, Łazarz, dniem i nocą nosił w zanadrzu, które nie było najczystsze? I że dziś, umywszy sobie twarz i ręce, z braku ręcznika, musiał użyć poły swego ubrania? Oczywiście, nikt nie podejrzewałby tego. O, Panie, iluż to po świecie musi być rozproszonych takich, co cierpią za jakiś, jak oni nazywają, honor – więcej, niżby mogli ścierpieć za Ciebie.

Z takimi myślami stałem u drzwi, patrząc za moim panem, który postępował długą i wąską ulicą. Wróciłem do domu i w jeden pacierz przeszukałem go z góry do dołu, bez wytchnienia, niczego nie znalazłszy. Posłałem nieszczęsny twardy tapczan, a wzięwszy dzbanek, ruszyłem z nim do rzeki. Tam w jednym ogrodzie

²Mistrz Antonio – płatnerz działający w Cuellar na przełomie XV i XVI wieku.

³W wydaniu z Alcalá de Henares: hrabiego de Alarcos. Morel-Fatio, francuski hispanista, utrzymuje, że popełniono tu omyłkę i że tytuł hrabiego winien brzmieć de Claros. Tak bowiem nazywa się bohater romancy *Media noche era por filo*, znany z przepychu, jakim się otaczał. Wydania z Burgos i Antwerpii opuszczają dwie pierwsze litery – stąd mamy: hrabia de Arcos. Niemniej Martin de Riquer we wstępie do *Łazika z Tormesu* (Barcelona, Vergara, 1959) udowadnia, że w końcu XV wieku żył hrabia de Arcos, co sprawia, że sugestię Morel-Fatia powinniśmy przyjmować z dużą ostrożnością.

zobaczyłem swego pana, jak smalił cholewki do dwóch kobiet o zasłoniętych twarzach⁴. Były one zdaje się, z rodzaju tych, których nigdy tam nie brakuje. U wielu z nich weszło w zwyczaj letnim rankiem przychodzić na chłodne brzegi rzeki, aby się orzeźwić i zjeść śniadanie, nie przynosząc jednakże nic z sobą, w nadziei, że na pewno znajdzie się ktoś, kto je ugości. Wielu bowiem z miejscowej szlachty popierało ten ich zwyczaj.

Otóż i on stał między nimi, jak rzekłem, niby trubadur Macías⁵, prawiąc im więcej grzeczności, niż ich Owidiusz napisał. Gdy spostrzegły, że się już dostatecznie rozczulił, poprosiły go bez żadnych ceremonii, żeby im postawił śniadanie za zwykłą opłatą. On zaś, wiedząc, że kabzę ma tak pustą jak i żołądek, zadrzał zmieszany, pobladł na twarzy, zaczął płatać się w rozmowie i przytaczać nic nie znaczące tłumaczenia. Kobiety widocznie już doświadczone, domyśliwszy się jego bolączki, zostawiły go samego.

Ja tymczasem gryzłem jakieś głąby, które mi zastępowały śniadanie, i wróciłem szybko do domu, żeby mnie pan nie widział. Chciałem zamieść pokoje, lecz nie było czym. Zacząłem rozmyślać, co tu dalej począć, i postanowiłem czekać na pana aż do południa, a może też nadejdzie i przyniesie przypadkiem coś do jedzenia. Ale nadzieje moje były daremne.

Gdy zobaczyłem, że już godzina druga minęła, a on nie powraca – ponieważ głód mi dokuczał, zamknąłem drzwi i powiesiwszy klucz, gdzie mi kazał, wróciłem do swego zawodu. Oczy zwróciwszy ku niebu, a językiem wzywając imienia bożego, cichym i słabym głosem zacząłem prosić o chleb u drzwi domów, które wydały mi się zamożniejsze. Umiejętność tę wyssałem z mlekiem matki: chcę powiedzieć, że nauczył mnie tego wielki mój mistrz ślepiec, a ja stałem się tak zdolnym uczniem, że chociaż ludzie w tym mieście niezbyt hojni, a i rok był nie bardzo urodzajny, przecież tak zręcznie się sprawiałem, że jeszcze czwarta godzina nie wybiła, jak miałem już ze cztery funty chleba w żołądku, a ze dwa funty w zanadrzu i w rękawach. Zawróciłem do domu, a mijając jatki, poprosiłem jedną ze sprzedających kobiet o jałmużnę, ona zaś dała mi kawał krowiej nogi i nieco gotowanych flaków. Gdy przyszedłem do domu, mój dobry pan już tam był. Płaszcz jego złożony leżał na ławie, a on sam przechadzał się po podwórku. Skoro wszedłem, podążył ku mnie. Myślałem, że mnie zgani za spóźnienie, ale Pan Bóg zrządził łaskawiej. Spytał mnie tylko, skąd powracam. Rzekłem mu:

⁴Tradycja arabska była nadal łatwa do zauważenia w wyjściowym ubiorze kobiet. Nosiły one płaszcze i zasłony spadające z głowy na suknię. Okryta udrapowanym płaszczem kobieta nie odsłaniała na ulicy twarzy, nawet gdy zwracała się z prośbą o pomoc do spotkanego kawalera.

⁵Macías – zwany także Zakochanym, trubadur tworzący w językach galicyjskim i kastylijskim. Szlachcic, paż Enrique de Villena na dworze Jana II. Według legendy zginął z rąk męża uwielbianej damy. Żył w XV wieku.

– Señor, siedziałem tu do godziny drugiej, ale ponieważ wielmożny pan nie wracał, poszedłem na miasto, żeby zwrócić się do litościwych ludzi, i oto co mi dali: zobaczcie, panie.

Pokazałem mu chleb i flaki przyniesione w pole kaftana.

On pobłażliwie popatrzał na to i rzekł:

– Czekałem na ciebie z obiadem, a potem widząc, że nie nadchodzisz, zjadłem sam. Ale ty w tym wypadku postąpiłeś jak uczciwy człowiek, bo lepiej poprosić o jałmużnę niż ukraść. Bóg mi świadkiem, że nie mam nic przeciwko temu, tylko pamiętaj, by się nikt nie dowiedział, że mieszkasz u mnie, bo tu chodzi o mój honor. Choć zresztą jestem przekonany, że to pozostanie w tajemnicy, ponieważ w tym mieście – obym nigdy do niego się nie przenosił – mało mnie znają.

– Niech pan się o to nie troszczy, señor. Nikomu nic do tego, aby mnie miał pytać, ani ja też nie mam powodu rozpowiadać.

– No, to jedz teraz, biedaczku. Jeśli Bóg dozwoli, rychło nie będziemy już cierpieć ubóstwa, a powiem ci, że odkąd wszedłem do tego domu, nic mi się nie wiedzie. Widać zbudowano go na niedobrej ziemi, bo bywają takie nieszczęśliwe domy, w złą godzinę zbudowane, które przynoszą nieszczęście wszystkim, co w nich mieszkają. I ten niewątpliwie do takich należy. Ale ja ci przyrzekam, że jak tylko skończy się ten miesiąc, za nic dłużej w tym domu nie zostanę, choćby mi go darmo dawali.

Siedziałem sobie na brzegu ławki i zataiwszy przed nim, że już jadłem podwieczorek, aby mnie nie wziął za żarłoka, zacząłem jeść na kolację chleb i flaki. Cichutko zerkałem na nieszczęsnego pana, który oczu nie spuszczał z poły mego ubrania, służącej mi wówczas za półmisek. Niechaj Bóg zlituje się nade mną tak, jak ja się wtedy nad nim litowałem: czułem, co on czuje, wiele razy doświadczywszy tego, czego on doświadczał teraz i co dzień. Rozmyślałem, czy dobrze robię, powstrzymując się od zaproszenia go do jadła. Z drugiej zaś strony bałem się, że on nie przyjmie mego zaproszenia, ponieważ mówił, że już jadł. Jednakże chciałem bardzo, aby biedaczysko poratował się moim zarobkiem i zjadł śniadanie tak jak wczoraj, zwłaszcza że i warunki temu sprzyjały, bo strawa była lepsza, a głód mój słabszy. Bogu spodobało się wypełnić moje (a myślę, że i jego) pragnienie, bo gdy zacząłem jeść, on przechadzając się, podszedł do mnie i rzekł:

– Powiem ci, Łazarzu, iż pierwszy raz w życiu widzę człowieka, który by jadł z takim apetytem. Każdy, kto nie miałby nawet żadnej ochoty do jedzenia, musi nabrać apetytu, jak ty jesz.

„Nawet z mniejszym apetytem niż twój – pomyślałem sobie – moja strawa wydałaby ci się wspaniałą ucztą”. Z tym wszystkim uważałem za właściwe pomóc mu, skoro już sam wskazał mi drogę; rzekłem przeto:

– Proszę pana, jaki materiał – taka robota. Ten chleb jest tak smaczny, a nóżka tak dobrze ugotowana i przyprawiona, iż wątpię, czy ktoś oparłby się jej smakowi.

– To krowia nóżka?

– Tak, panie.

– Powiem ci, że to najlepsza potrawa na świecie, i żaden bażant tak by mi nie przypadł do gustu.

– Proszę, niech pan spróbuje, a przekona się pan, że jest znakomita.

Podał mi kawał nogi i trzy lub cztery kromki najbielszego chleba. Siadł obok mnie i zaczął jeść z wielkim apetytem, obgryzając każdą kostkę lepiej, niżby to pies jego zrobił.

– Z sosem z oliwy, sera i czosnku – rzeczy – byłaby to przepyszna potrawa.

– Jesz ty ją z lepszą przyprawą – odpowiedziałem cicho.

– Na Boga, zjadłem to z takim smakiem, jak gdybym dziś nic jeszcze nie miał w ustach.

„Daj mi Boże zdrowie, jeśli nie taki był powód” – pomyślałem sobie.

Poprosił mnie o dzbanek z wodą. Podając go, zauważyłem, że wody w nim tyleż, ile przyniosłem. Był to dowód, że pan mój niezbyt obfity zjadł obiad, skoro woda w dzbanku stała nietknięta. Popiliśmy i bardzo zadowoleni poszliśmy spać jak dnia poprzedniego.

Żeby się nie rozwodzić zbytnio, powiem tylko, że w ten sposób przeżyliśmy osiem do dziesięciu dni. Co rano mój pan biedaczysko ze swą czcigodną postawą powolnym krokiem wyruszał odetchnąć świeżym powietrzem na ulicach, zostawiając Łazikowi troskę o zdobycz.

Coraz częściej zastanawiałem się, nad mą nieszczęsną dolą. Uwolniwszy się od złych gospodarzy, którym pierwemu służyłem, i szukając lepszego, napotkałem takiego, co nie tylko, że mnie nie utrzymywał, ale jeszcze ja musiałem go żywić. Pomimo to lubiłem go, widząc, że on sam nic nie ma i nic dać nie może. Toteż czułem dla niego raczej litość niż niechęć i nieraz sam obchodziłem się bez pokarmu, byleby tylko przynieść do domu cokolwiek, czym on mógłby się pożywić. Pewnego razu wczesnym rankiem, kiedy on w jednej koszuli poszedł za potrzebą na górę, ja – żeby się pozbyć wszelkich wątpliwości – rozwinąłem jego kaftan oraz spodnie położone u wezgłowania i znalazłem tam woreczek z gładkiego aksamitu, cały sfałdowany, w którym nie było ani blanki, ani nawet śladu, że tam kiedyś coś było. – „To biedak – mówiłem sobie – a nikt nie może dać tego, czego nie posiada. Lecz oto skąpy ślepiec i przeklęty sknera ksiądz morzyli mnie głodem, choć Bóg im dawał niemało, jednemu za całowanie po rękach, drugiemu za obrotny język. Takich to trzeba nienawidzić, a tego tylko pożałować”.

I dziś jeszcze, Bóg mi świadkiem, gdy widzę kogoś ze szlacheckiego stanu z taką dostojną postawą, zaraz mi go żal. Bo myślę sobie, czy i on nie cierpi czasem tego, co – jak widziałem – cierpiał mój pan, któremu, przy całym jego ubóstwie, począłem służyć z większą ochotą niż innym, a właśnie z powodów, które wymieniłem. Jedna rzecz tylko trochę mi się w nim nie podobała. Chciałbym, żeby on wyrzekł się pychy i żeby jego duma zniżyła się choć nieco do poziomu, który by odpowiadał jego ubóstwu. Lecz widocznie u ludzi podobnego rodzaju

istnieje zwyczaj surowo przestrzegany i zachowywany, aby dumnie trzymać głowę, nawet gdyby w kieszeni grosza nie było. Wylecz ich z tego, Panie Boże, bo inaczej zginą przez tę chorobę.

I oto, kiedy w takim położeniu pędziłem życie, spodobało się mojej złej doli, jak gdyby nie dość mnie jeszcze gnębiła, zakłócić i ten sposób życia w trosce i poniżeniu. W miejscowości tej zdarzył się właśnie rok nieurodzaju, skutkiem czego rada miejska postanowiła, aby wszyscy ubodzy przyjezdni opuścili miasto⁶; przy czym zapowiadano, że kogo złapią po ogłoszeniu rozporządzenia, ten będzie karany chłostą.

I rzeczywiście, w cztery dni po ogłoszeniu widziałem, jak stosując to prawo – pędzono ulicami, chłoszcząc, całą procesję żebraków. To nabawiło mnie takiego strachu, że w żaden sposób nie odważyłem się przekroczyć rozporządzenia i prosić o wsparcie.

Wówczas warto było widzieć, w jakiej wstrzemięźliwości, przygnębieniu i milczeniu żyli mieszkańcy naszego domu. Niekiedy zdarzało nam się spędzić dwa lub trzy dni, nie jedząc ani kęsa i nie przemówiwszy ani słowa. Życie moje podtrzymywały jakieś kobieciny z sąsiedztwa, trudniące się przędzeniem bawełny i wyrobem baretów. Poznałem się z nimi, a one wydzielały mi odrobinę z tego, co sobie gotowały – i o tym jakoś żyłem. Nie tyle żał mi było siebie, ile mego wynędzniałego pana, który nie wiem, czy nawet raz na tydzień zjadł jakiś kasek. Przynajmniej w domu nie jedliśmy nic przez cały tydzień. Nie wiem, gdzie on chodził, skąd wracał i co jadał. Patrzałem, jak w południe szedł ulicą wychudły jak rasowy chart. Ponieważ wymagał tego nieszczęsny honor, brał jakąś słomkę z tych resztek, co były jeszcze w domu, i stojąc we drzwiach, dłubał nią w zębach, niby to po jedzeniu. Skarżył się wówczas na pechową kamienicę, mówiąc:

– Wszak to oczywiste, że powodem naszych kłopotów jest ten fatalny dom. Sam widzisz, jaki on ponury, ciemny i smutny. Dopóki tu mieszkamy, musimy cierpieć. Czekam, kiedy się skończy ten miesiąc, żeby się stąd wydostać.

I oto w tym czasie, gdyśmy tak cierpieli nękani głodówką, nie wiem, jakim szczęśliwym przypadkiem pan mój zdobył reala. Przyszedł taki ucieszony do domu z tym realem, jak gdyby miał w rękach skarby całej Wenecji. Twarz jego promieniała radością, gdy dawał mi reala, mówiąc:

– Weź, Łazarzu. Bóg otworzył swą hojną rękę. Idź na rynek, kup chleba, wina i mięsa. Trzeba dziś diabłu przytrzeć rogow. A jeszcze to ci na pociechę oznajmię, że wynająłem inny dom, i w tym nieszczęśliwym przesiedzimy tylko do koń-

⁶ „Włóczęstwo – ta natarczywa, choć milcząca forma ujawniania się nędzy – rosło w siłę (...) Miasta same musiały dbać o porządek i w trosce o higienę usuwać co pewien czas ludzi ubogich (...) Przepędzano ich, powracali albo przybywali inni. Owe ekspulsje, owe zajadłe poczynania świadczą o bezsilności ostrożnych miast wobec tej nieustannej inwazji”. F. Braudel, *Morze Śródziemne i świat śródziemnomorski w epoce Filipa II*, przeł. M. Kwiecińska i M. Król, wyd. I, t. II, Gdańsk, Wydawnictwo Morskie, 1977, str. 92 – 93.

ca miesiąca. Niech będzie przeklęty ten, co położył na nim pierwszą dachówkę. W złą godzinę do niego wszedłem. Klnę się na Boga, że przez cały czas, jak tu mieszkam, nie wypilem ani łyka wina, nie zjadłem ani kawałka mięsa i nie miałem ani chwili spokoju – taki ma on wygląd ponury i smutny. No, biegnij i wracaj co prędzej, a zjemy sobie dziś obiad jak hrabiowie.

Schwyciwszy reala i dzbanek, wesół i ucieszony, pobiegłem co siły w nogach ulicą ku rynkowi.

Ale cóż na to poradzić, że mi od urodzenia przeznaczone było nie zakosztować nigdy żadnej radości bez przeszkody. Tak było i tym razem. Idąc ulicą, obliczałem, jak i na co wydać reala, żeby największa była z niego korzyść, a przy tym wznosiłem do Boga nieskończone dzięki za to, że memu panu zesłał pieniądze. Aż tu na moje nieszczęście naprzeciw mnie niosą ulicą nieboszczyka na marach w otoczeniu księży i licznych orszaków. Przytuliłem się do ściany, żeby im zostawić wolne przejście. Jak tylko minęli mnie z ciałem, ukazała się za trumną kobieta w żałobie, zapewne żona zmarłego, której towarzyszyło kilka innych kobiet. Szła ona płacząc i głośno lamentując tymi słowami:

– Mężu i panie mój! Kędyż cię niosą ode mnie? Do domu smutku i niedoli, do domu strapienia i mroku. Do tego domu, gdzie nigdy nie ma jadła ani napoju.

Gdy to usłyszałem, ugięły się nogi pode mną i krzyknąłem:

– O, ja nieszczęśliwy! Do naszego domu niosą tego nieboszczyka!

Zawróciłem z drogi, przepchnąłem się przez orszak i co tchu przybiegłem do domu. Wszedłszy, szybko zamknąłem drzwi, wołając na pomoc mego pana i objawszy go, prosiłem, żeby mi pomógł bronić wejścia. On, zmieszawszy się nieco i domyślając czegoś innego, spytał mnie:

– Co się stało, chłopcze? Czego krzyczysz? Czemu tak zawzięcie tarasujesz drzwi?

– Ach, panie – rzekłem – nie odchodź stąd, do nas niosą tu nieboszczyka.

– Jak to? – zapytał.

– Spotkałem go tam, a żona jego mówiła: „Mężu i panie mój. Kędyż cię niosą ode mnie? Do domu smutku i niedoli, do domu strapienia i mroku, do tego domu, gdzie nigdy nie ma jadła ani napoju”. Ach, panie, jego niosą tutaj!

Oczywiście, gdy pan mój usłyszał to, choć nie było powodu do zbytnej radości, przecież tak się śmiał, że długo nie mógł przyjść do słowa. A ja tymczasem zamknąłem drzwi na zasuwę i dla lepszej obrony podpierałem je ramieniem. Już ludzie z nieboszczykiem minęli nasz dom, a ja wciąż myślałem, że jego nam tu wstawią. Ponieważ mój dobry pan do tej pory bardziej nasycił się śmiechem niż jadłem, przeto rzekł do mnie:

– Prawda, Łazarzu, że sądząc ze słów wdowy, mogłeś całkiem słusznie pomyśleć to, coś pomyślał; lecz ponieważ Bogu spodobało się wszystko lepiej zrządzić, niż się spodziewałeś – i skoro oni już poszli sobie dalej, otwórz drzwi i ruszaj po obiad.

– Señor, niechaj choć wyjdą z naszej ulicy – nalegałem.

W końcu mój pan otworzył drzwi i wypchnął mnie na ulicę, używając do tego niemałej siły – taki wielki był mój strach i zmieszanie. I chociaż podjedliśmy sobie nieźle tamtego dnia, nie miałem wcale apetytu i dopiero po trzech dniach moja twarz odzyskała swój zwykły kolor. Pan zaś śmiał się, ilekroć przypominał sobie moją przygodę.

Tak spędziłem dni sporo z biednym szlachcicem, który był moim trzecim gospodarzem. Przez cały ten czas starałem się poznać cel jego przybycia i osiedlenia w tej miejscowości. Już pierwszego dnia, jak tylko zamieszkałem u niego, poznałem, że on nietutejszy, bo miał bardzo mało znajomości wśród miejscowych mieszkańców. Nareszcie spełniło się moje życzenie i dowiedziałem się, czegoom chciał.

Pewnego razu, gdyśmy zjedli dość suty obiad, pan był w dobrym usposobieniu i opowiedział mi swoje losy, mówiąc, że pochodzi ze Starej Kastylii i że opuścił swą ojczyznę, aby nie zdejmować kapelusza przed szlachcicem z sąsiedztwa.

– Panie mój, rzekłem, jeżeli on był, jak mówicie, bogatszy od was, to nie było obrazy ukłonić mu się pierwszy, zwłaszcza że i on, jak mówicie, wam się kłaniał.

– Tak, to prawda, i on mi się kłaniał, ale ponieważ ja wiele razy ukłoniłem mu się pierwszy, przeto byłoby wcale pięknie, żeby on kiedykolwiek mnie uprzedził.

– Mnie się zdaje, señor, że ja bym na to nie zważał, a zwłaszcza wobec tych, co są starsi i bogatsi ode mnie.

– Ty jesteś dzieckiem – rzekł mi. – Ty nie rozumiesz zagadnień honoru, na którym polega teraz całe bogactwo wysoko urodzonych. Powiem ci tylko, że jestem – jak widzisz – szlachcicem i klnę się na Boga, że jeżeli spotkam na ulicy hrabiego, a on nie zdejmie przede mną kapelusza w najgrzeczniejszy sposób, to na drugi raz przy spotkaniu, zanim on się zbliży, postaram się wejść do jakiegoś domu, udając, że w nim mam jakąś sprawę, albo też przejdę na drugą stronę ulicy, jeżeli się da, byle tylko mu się nie kłaniać. Prócz Boga i króla szlachcic nic nikomu nie winien – i nie należy, będąc człowiekiem szlachetnie urodzonym, zaniedbywać się w przestrzeganiu godności osobistej. Pamiętam, jak pewnego razu poniżyłem pewnego urzędnika w moich stronach, a nawet omal że go nie obięm za to, że za każdym razem przy spotkaniu mówił mi: „Szczęść Boże dobrodziejowi⁷”.

– Wy, panie Podły Łyku, źle jesteście wychowani – rzekłem mu. – Cóż wy mi mówicie: „Szczęść Boże”, jak gdybym był wam równy?

Od tej pory już zawsze zdejmował przede mną kapelusz i mówił jak należy.

– A czyż źle jest, witając drugiego, powiedzieć mu: „Szczęść Boże”? – zapytałem.

⁷W oryginale: *manténgaos Dios* (niech Bóg was wesprze) – pozdrowienie często używane przez kastylijskich wieśniaków i plebejuszy. Ludzie mający ogładę towarzyską uważali je za nabyt prostackie i uwłaczające pozdrawianej osobie.

– Bardzo źle – odpowiedział. Przecież tak się mówi do ludzi niskiego stanu, ale do osób wyżej urodzonych, jak ja, nie mówi się inaczej jak: całuję rączki jaśnie panu lub co najmniej: całuję rączki pańskie, jeżeli ten, co się do mnie zwraca, jest szlachcicem. Toteż nie mogłem ścierpieć, aby ten mój ziomek zwracał się do mnie z podobnym powitaniem, i nie ścierpię od nikogo w świecie, prócz króla, żeby mi kto mówił: „Szczęść Boże”.

„Dlatego też – pomyślałem – tak źle ci się szczęści, bo nie znosisz, kiedy ktoś Boga o to prosi”.

– Przed wszystkim – mówił dalej – nie jestem ubogi. Posiadam kawał gruntu szesnaście mil od miejsca, gdzie się urodziłem, to jest w Costanilli w Valladolid. Gdyby na nim pobudować solidne domy, duże i wygodne, warte byłyby dwieście tysięcy marawedów. Prócz tego mam gołębnik, który mógłby dawać corocznie dwieście gołębi, gdyby nie był zrujnowany⁸. Nie mówiąc o innych dobrach, o których zmilczę, a które musiałem opuścić, bo tak nakazywał honor. Przybyłem do tego miasta z zamiarem, aby się tu przyzwoicie urządzić, lecz stało się inaczej, niż myślałem. Wprawdzie znalazłem tu niemało kanoników i dostojników kościelnych, lecz wszyscy żyją w takim odosobnieniu, że nikt w świecie nie zdołałby zmienić ich trybu życia. Zaprasza mnie szlachta średniozamożna, ale służyć jej zbyt jest przykro, bo wypadaloby z człowieka przedzierzgnąć się w chłopca do wszystkiego. Inaczej powiedzą ci: z Panem Bogiem. Co się tyczy wynagrodzenia, to płacą w odległym terminie, a zazwyczaj służy się tylko za wyżywienie. Kiedy zaś zechcą uspokoić swe sumienie i wynagrodzić cię za trudy, to podarują ci w gotowalni przepoconą kurtkę lub kaftan albo znoszony płaszcz. Jeżeli jednak uda się komuś przypiąć do jakiegoś wielmoży, to wtedy można wyżyć wcale znośnie. Zaliż to los odmówił mi zdolności do służenia i nadszkakiwania im? Jak mi Bóg miły, gdyby mi się udało trafić na takiego, spodziewam się, że rychło zasłużyłbym sobie na jego życzliwość. Wyświadczyłbym mu tysiące przysług, bo bym potrafił mu kadzić nie gorzej od innych i dogadzać na mnóstwo przemyślnych sposobów. Śmiałbym się z jego powiedzonek i chwalił jego obyczaje, choćby nie były najlepsze; nie powiedziałbym mu nic przykrego, nawet gdyby się należało. Dbałbym w słowach i czynach o jego osobę, ale bym ją lekceważył, gdy tylko schodziłbym mu z oczu. Klóciłbym się ze służbą, aby on, słysząc, myślał, że troszczę się o jego sprawy. Gdyby on wymyślał na kogoś ze służby, umiałbym dolać oliwy do ognia, lecz tak, aby się zdawało, że wstawiam się za winnym. Odzywałbym się dobrze o wszystkim, co on za dobre uważa, i na odwrót – wyśmiewałbym, szydziłbym i obmawiałbym domowników i znajomych. Śledziłbym życie innych, aby mieć o czym opowiadać memu panu. Stosowałbym różne sztuczki, które dzisiaj tak popłacają na dworach i podobają się możliwym. Nie chcą oni widzieć na swych

⁸Posiadanie gołębnika było w średniowieczu przywilejem feudalnym, nadawanym tylko szlachcie i fundacjom religijnym.

pokojach ludzi cnotliwych; nienawidzą ich, lekceważą i nazywają głupcami tylko dlatego, że nie ubije się z nimi żadnego interesu, a zapomnieć się w ich obecności nie wypada. Toteż kto chytry, czyni to, co ja bym czynił, ale nie chce zły los, abym znalazł takiego pana.

Tak skarżył się mój pan na gorzką dolę, opowiadając mi o swej osobie.

W tym czasie wszedł we drzwi jakiś mężczyzna i jakaś baba. Mężczyzna począł żądać od niego opłaty za najem domu, a baba – za pościel. Zaczęli rachować i za dwa miesiące wyliczyli mu tyle, że i w rok nie zebrałby tego: koło dwunastu czy trzynastu realów. Pan mój zręcznie powiedział, że pójdzie tylko na rynek zmienić jedną monetę na dwie i żeby oni później przyszli – ale już nie wrócił.

Toteż gdy tamci zjawili się później, było już za późno. Zapadła noc, a jego wciąż nie było. Bojąc się zostać sam w domu, uciekłem do sąsiadek, opowiedziałem im, co się stało, i tam zasnąłem. Nazajutrz rano przyszli wierzyciele i zaczęli pytać o sąsiada, ale nadaremnie. Kobiety im powiedziały:

– Widzicie tu tego chłopca, on ma klucz od mieszkania.

Zaczęli mnie wypytywać o pana; odrzekłem, że nie wiem, gdzie jest, że nie wrócił do domu, odkąd wyszedł zmienić pieniądze, i myślę, że on pod pozorem zmiany uciekł od nich i ode mnie.

Usłyszawszy to, poszli po alguazila⁹ i po pisarza – i wkrótce z nimi wrócili. Wzięli klucz, wezwali mnie oraz świadków, otworzyli drzwi i weszli, aby położyć areszt na majątku mego pana, dopóki dług nie będzie spłacony. Obeszli cały dom, a widząc, że jest pusty, jak to już mówiłem, zaczęli mnie badać:

– Gdzie są ruchomości twego pana? Gdzie jego kufry, meble, opony?

– Tego ja nie wiem – odrzekłem im.

– Niewątpliwie dziś w nocy wszystko to musieli ukryć lub wynieść do innego domu. Panie alguazilu, niech się pan weźmie za tego chłopca, on wie, gdzie są rzeczy.

Wówczas podszedł alguazil i ujawszy mnie za kołnierz, rzekł:

– No, łobuzie, jeżeli nie powiesz, gdzie są ruchomości twego pana, będę musiał cię pojmać.

Ponieważ ze mną nie było jeszcze wypadku, aby mnie ktoś chwycił za kołnierz (przypuśćmy, że ślepy brał mnie za kołnierz, ale trzymał dość lekko, żebym tylko mógł wskazać drogę, której nie widział), zląkłem się bardzo, i z płaczem obiecałem mówić wszystko, o co mnie pytają.

– Dobrze. Więc nie bój się i opowiadaj, co wiesz – rzekli mi.

⁹Alguazil – hiszpańskie *alguacil*, z arabskiego *al-wezir* (minister, wezyr). Początkowo w Hiszpanii chrześcijańskiej miano to nadawano gubernatorowi sprawującemu władzę administracyjną i sądowniczą w mieście. Później stała się ona określeniem niższego urzędnika wymiaru sprawiedliwości. Do jego obowiązków należało: utrzymywanie porządku publicznego, dbanie o bezpieczeństwo osób i rzeczy, prowadzenie dochodzeń, aresztowanie podejrzanych, wykonywanie poleceń trybunału, zajmowanie dóbr, pełnienie straży nocnej.

Pisarz zasiadłszy na ławie, aby spisywać inwentarz, napisał mnie, co pan mój posiada.

– Señores – odrzekłem – mój pan, jak sam mi mówił, ma ładny kawał gruntu pod budowę i rozwalony gołębnik.

– Dobrze – powiedzieli. – Cokolwiek to jest warte, zawsze można będzie pokryć nasze należności. No, a w jakiej części miasta ten grunt się znajduje? – spytali mnie.

– W jego rodzinnych stronach – odpowiedziałem.

– Dłaboga, wcale nieźle! – odrzekli. – A gdzie są te strony rodzinne?

– Mówił mi, że w Starej Kastylii – odrzekłem.

Alguazil i pisarz długo się śmiali, mówiąc:

– Wystarczy tego, rozumie się, aby pokryć waszą należność, nawet gdyby była większa.

Sąsiadki, obecne przy tym, rzekły:

– Panowie, ten dzieciak nie winien. On dopiero niedawno mieszka u tego szlachcica i wie o nim nie więcej od waćpanów. Biedaczyna często do nas zagładał, bo myśmy dawały mu jeść, a na noc chodził spać do niego.

Widząc, że jestem niewinny, puścili mnie na wolność. Alguazil i pisarz zaczęli żądać od mężczyzny i baby opłaty za swą fatygę, z czego powstała straszliwa kłótnia i wrzawa. Jedni twierdzili, że nie powinni płacić, bo nie mają za co, skoro niczego nie zajęto, drudzy mówili, że oni z tego powodu porzucili inne zajęcie, które było dla nich ważniejsze od tego.

Wreszcie po długich sporach obciążono alguazila starą derką baby – a trzeba powiedzieć, że się nie nadźwigał – po czym wszyscy pięcioro poszli głośno krzycząc. Nie wiem, na czym się to skończyło, ale sądzę, że nieszczęsna derka zapłaciła za wszystkich i dobrze się spisała, ponieważ zamiast wypoczywać po poniesionych trudach, pozwoliła się dalej wynająć.

Tak oto porzucił mnie mój trzeci, biedny pan, dzięki czemu ostatecznie poznałem mą gorzką dolę. Los mój, czyniąc mi we wszystkim na przekór, jakoś odwrócił na nice porządek życia, zazwyczaj bowiem służba porzuca swoich panów, a ze mną stało się inaczej: mój pan opuścił mnie i uciekł.

Rozdział 4

Jak Łazarz zgodził się na służbę do mercedariusza i co go tam spotkało

Wypadło szukać czwartego chlebowawcy. Kobięciny, o których mówiłem, zaprowadzały mnie do pewnego brata z zakonu mercedariuszy¹. Nazywały go krewnym. Był to wielki wróg klasztornej chóry i wspólnego refektarza, za to zapalony miłośnik świeckich rozrywek i odwiedzin, przepadał za życiem poza murami klasztoru. Myślę, że biegając, zdarł on więcej trzewików niż wszyscy jego bracia zakonnicy razem wzięci. On to podarował mi pierwsze w moim życiu trzewiki; nie wytrzymały one nawet tygodnia, zresztą i ja nie wytrzymałem dłużej jego nieustannej bieżaniny.

Z tej przyczyny, jak i z powodu pewnych sprawek, o których nie wspomnę, nie zagrałem u niego miejsca.

¹Zakon braci Matki Boskiej (mercedariuszy) – założony 10 III 1218 w Barcelonie przez świętego Piotra Nolasco, świętego Rajmunda z Peñafort i króla Aragonii, Jaikuba I Zdobywcę. Zajmował się wykupem jeńców chrześcijańskich z arabskiej i tureckiej niewoli. Organizacja o charakterze religijno-militarnym do 1317 roku, od 1875 zakon prowadzi działalność misyjną, oświatową i dobroczynną.

Rozdział 5

Jak Łazarz zgodził się na służbę do sprzedawcy bull odpustowych co mu się i niego przytrafiło

Piąty chlebowca, którego mi los przeznaczył, trudnił się sprzedażą bull odpustowych¹. Był to skończony szubrawiec, umiejący zbywać swój towar z takim sprytem i przebiegłością, jakich w życiu nie widziałem i nie spodziewam się nigdy zobaczyć: tyle miał sposobików i podstępnych pomysłów.

Przybywając do miasteczka, gdzie zamierzał sprzedawać bulle, przede wszystkim ofiarowywał proboszczom albo księżom drobne podarunki bez wartości ani znaczenia: główkę sałaty, jeżeli była na nią pora, parę cytryn lub pomarańcz, brzoskwinie, kilka moreli albo niedojrzałych gruszek. Kiedy mu dziękowali, starał się ich pozyskać, aby mu sprzyjali w sprzedaży bull i zachęcali parafian do kupna. Następnie badał ich stopień wykształcenia. Gdy mówili, że rozumieją po łacinie, wtedy on, aby się nie potknąć, nie mówił tym językiem, lecz posługiwał się ze swadą wykwintną i czystą mową hiszpańską. Jeżeli zaś okazało się, że księża byli z tych wielebności, co to mają więcej do czynienia z pieniędzmi niż z księgami i rewerendami, wówczas on udawał między nimi świętego Tomasza i bite dwie

¹Bulla o (świętej) krucjacie – dokument wydany przez Grzegorza VII w 1073, w którym przyznawał on rycerzom hiszpańskim i obcym, biorącym udział w walkach z Maurami aragońskimi, odpust i inne korzyści. Następni papieże (Urban II, Gelazy II, Kalikst III, Eugeniusz III, Innocenty III, Grzegorz IX, Klemens IV i Klemens V) wzywając do walki z niewiernymi, rozciągnęli moc bulli także na tych wszystkich, którzy wspierali finansowo kolejne wyprawy wojenne. Od 1340 bulle wzywały do walki z królami Maroka i emiratem Granady (Sykstus IV, Innocenty VIII, Aleksander IV). Po rekonkwiecie większa część dochodów odprowadzana była do skarbu królewskiego, resztę rezerwowała sobie Stolica Apostolska. Od konkordatu w 1851 dochody z bulli, przeznaczone na cele związane z kultem, znajdowały się w wyłącznej gestii prymasa Hiszpanii. W 1966 Paweł VI bullą *Paenitemini* zniósł przywileje narodowe Kościoła hiszpańskiego, w tym także bullę o krucjacie.

godziny prawil po łacinie, przynajmniej tak się zdawało, bo w istocie było inaczej.

Gdy nie brano od niego buli z dobrej woli, starał się wpakować je mimo woli i zmuszał do tego ludność, uciekając się nieraz do sprytnych wybiegów. Ponieważ zbyt długo trzeba by mówić o wszystkich jego fortelach, przeto opowiem tylko o jednym z nich, bardzo dowcipnym i sprytnym i niech on służy za dowód przebiegłości tego człowieka.

W pewnym miasteczku, należącym do diecezji biskupiej Toledo, prawil kazania przez dwa lub trzy dni, uciekając się do zwykłych jemu sposobów, a mimo to nie kupiono od niego ani jednej buli i jak się zdawało – nie myślano brać. Pienił się ze złości. Rozmyślając, co czynić dalej, postanowił nazajutrz z rana zwołać ludność i bulle rozprzedać. Tegoż wieczora po kolacji zaczął grać w karty z alguazilem. Podczas gry pokłócili się i obrzucili wymysłami. On nazwał alguazila złodziejem, a ten jego oszustem. Na to komisarz², czyli mój pan, skoczył do piki, która stała u drzwi izby, alguazil zaś chwycił za szpadę, którą nosił u boku.

Na krzyk i hałas, jakiego narobiliśmy wszyscy, zbiegli się goście i sąsiedzi – i rozdzielili ich. Oni zaś, strasznie rozgniewani, starali się wyrwać, aby się bić. Lecz ponieważ na wrzawę zebrało się ludzi tak wiele, iż wkrótce wypełnili izbę, obaj widząc, że nie zdołają zmierzyć się orężem, zaczęli się obrzucać obelgami. Alguazil krzyknął memu panu, że jest oszustem, bo bulle, które zaleca, są fałszywe.

Na koniec ludzie, widząc, że inaczej nie potrafią ich uspokoić, przemocą wyprowadzili alguazila z izby. Pan mój był strasznie rozsierdzony, ale goście i sąsiedzi tak go poczęli prosić, że wreszcie przestał się złościć i poszedł spać. Wszyscy uczynili to samo.

Nazajutrz rano pan mój udał się do kościoła i kazał dzwonić na mszę i na kazanie, aby przy tej sposobności sprzedawać bulle. Ludzie zaczęli się zbierać, lecz wielu z nich szemrało, że bulle są fałszywe, co alguazil wyjawil był przy kłótni. Toteż nawet ci, co mieli bodaj słabą chęć kupienia, teraz wyrzekli się tego całkowicie.

Pan komisarz wszedł na ambonę i rozpoczął kazanie, namawiając ludzi, aby się nie pozbawiali wielkiego dobrodziejstwa odpustu, jakie płynie ze świętej buli.

Gdy kazanie jego doszło do najciekawszego miejsca, wszedł do kościoła alguazil, klęcząc odmówil modlitwę, po czym wstał i przemówil donośnym głosem, wolno i wyraźnie wymawiając słowa:

– Dobrzy ludzie, posłuchajcie, co powiem, a wysłuchawszy, sądzcie sami. Przybyłem do waszego miasta z tym oto nicponiem, który prawi wam kazanie, a który mnie podszedł, prosząc o pomoc w swojej sprawie pod warunkiem podziału zysków. Teraz jednak zrozumiawszy, jaką krzywdę wyrządzi to memu su-

²Komisarz – nazwa urzędnika rozprawdzającego bulle o krucjacie.

mieniu i waszym majątkom, poczułem skruchę i oświadczam wam, że bulle, które on zaleca, są podrobione. Nie wierzcie mu i nie bierzcie ich; ja zaś wyrzekam się wszelkiego w tym udziału i składam mój urząd. A jeżeli go kiedyś ukarzą za oszustwo, bądźcie mi świadkami, że ja z nim nie trzymałem i nie pomagałem mu, o czym zawczasu ogłaszam, wykazując jego nieczny postępek.

Tak alguazil skończył swe przemówienie. Kilka czcigodnych osób, stojących obok, próbowało wyprowadzić go z kościoła, aby zapobiec awanturze. Lecz pan mój powstrzymał ich gestem i pod groźbą wyklęcia zabronił wszystkim mieszać się do tego. Chciał dać mu możliwość wypowiedzenia wszystkiego, co zechce. Sam również zachowywał milczenie, póki alguazil mówił. Gdy skończył, pan mój spytał go, czy nie chce jeszcze czegoś dodać, na co alguazil odrzekł:

– Wiele mógłbym jeszcze powiedzieć o was i waszym fałszerstwie, ale na dzisiaj wystarczy.

Wówczas pan komisarz, ukląkszy na ambonie, wzniosłszy ręce i zwróciwszy oczy ku niebu, począł mówić:

– O, Panie! Ty, przed którym nic się ukryć nie może, który wszystko widzisz! O Wszchemocny, dla którego nie ma nic niemożliwego! Ty wiesz prawdę i widzisz, jak niesłusznie jestem skrzywdzony. Wybaczam mu, Panie, krzywdę moją, abyś i Ty mi wybaczył. Daruj mu, bo nie wie, co czyni i mówi. Ale błagam Cię w imię sprawiedliwości, nie ukryj zniewagi wyrządzonej Tobie, o Panie, ażeby ktoś z obecnych, co myślał wziąć tę świętą bullę – uwierzywszy kłamliwym słowom tego człeka, nie poniechał zamiaru. Błagam Cię, o Panie, objaw tutaj cud, a niech on będzie taki: jeżeli prawdziwe są słowa tego człowieka, a ja winien kłamstwa i oszustwa, niechaj zapadnę się z tą amboną na siedem sążni pod ziemię, aby już nigdy stamtąd nie wyjść; lecz jeżeli słuszne jest, co ja mówię, a ten sługa szatana rzucił oszczerstwo, aby pozbawić obecnych wielkiego dobrodziejstwa, to niech on poniesie karę i niechaj wszyscy poznają jego niegodziwość.

Zaledwie mój bogobojny pan skończył swą modlitwę, alguazil runął jak długi na ziemię, uderzywszy tak silnie o posadzkę, że aż rozległo się w kościele, i począł ryczeć tocząc pianę z ust; czyniąc straszne miny wykrzywioną twarzą, machał rękami i nogami, wijąc się na podłodze we wszystkie strony.

Zamieszanie i wrzawa tłumu doszły do tego, że nikt nikogo nie słyszał. Jedni stali zdjęci przerażeniem i grozą, drudzy zaś mówili: „Panie, pomóż mu i ratuj!” – inni znów: „To dobra nagroda za to, że dał fałszywe świadectwa”. Wreszcie niektórzy stojący z bliska podeszli do niego, zdaje się nie bez silnej obawy, i wzięli za ręce, którymi on setnie kułakował otaczających. Inni trzymali go za nogi, dobywając wszystkich sił, bo żadna oślica tak wściekle nie wierzga. Trwało to dłuższą chwilę. Z piętnastu ludzi miało z nim robotę, i to nie na żarty, bo jak się który zagapił, zaraz dostawał prosto w gębę.

Przez cały ten czas pan mój klęczał z podniesionymi rękoma i z oczyma wzniesionymi ku niebu, do tego stopnia zatopiwszy się w świątobliwym zachwy-

cie, że ani płacz, ani krzyki, ani wrzawa, rozlegające się w kościele, nie mogły go wyrwać z pobożnej ekstazy.

Kilku pocziwych ludzi zbliżyło się doń, aby go przebudzić; prosili go, by zechciał pomóc temu biedakowi, który prawie że konał, i błagali, by zapomniał o całym zajściu i o złych słowach, za które winny poniósł już karę. Jeżeli może pomóc i ulżyć mękom, które ten cierpi, to na Boga! niechaj to uczyni, bo teraz wszyscy już widzą występki winowajcy, a słuszność i dobroć jego; niech więc pomodli się do Boga, żeby na jego prośbę przestał karać nieszczęśliwego.

Pan komisarz, jak gdyby zbudziwszy się ze snu cudownego, potoczył wzrokiem dokoła, spojrzął na przestępcę i na tych, co go otaczali, po czym z wolna przemówił:

– Dobrzy ludzie! Nigdy nie powinniście byli prosić za człowiekiem, na którym Pan Bóg tak jasno ukazał swą sprawiedliwość. Lecz ponieważ On każe nam nie oddawać zła za zło, lecz przebaczać krzywdy, przeto możemy zwrócić się do Niego z błaganiami, pełni ufności, że sprawi to, co nam nakazuje, i że Jego boski majestat przebaczy temu, kto Go obraził, chcąc przeszkodzić świętej wierze w Niego. Módlmy się wszyscy.

Zeszedł z kazalnicy i wezwał obecnych do pokornej modlitwy, aby Pan Bóg raczył wybaczyć grzesznikowi, wrócić mu zdrowie i rozsądek wypędzając zeń szatana, jeżeli już dopuścił, że zły duch wstąpił w tego człowieka za jego ciężki grzech.

Wszyscy padli na kolana i razem z księżmi zaczęli cichym głosem śpiewać przed ołtarzem litanie; tymczasem pan mój, zbliżywszy się do alguazila z krzyżem i wodą święconą i zaśpiewawszy nad nim, wyciągnął ręce do nieba i wyrócił oczy, że zaledwie widać było nieco białka, po czym wygłosił długą i pobożną modlitwę, która pobudziła do płaczu cały lud. Zazwyczaj udaje się to tylko kaznodziejom, którzy w Wielkim Tygodniu mówią pobożnym słuchaczom o Męce Pańskiej. Błagał on Pana naszego, aby nie zapragnął śmierci grzesznika, lecz darował mu życie dla skruchy³, albowiem szatan go zwiódł i popchnął do grzechu śmiertelnego; aby Pan wybaczył mu i przywrócił życie i zdrowie, dając mu możliwość pokuty za ciężkie grzechy.

Mówiąc to, kazał podać bullę i położył mu ją na głowie. Natychmiast nieszczęsny alguazil poczuł się lepiej i pomału zaczął wracać do przytomności. Kiedy zaś całkowicie przyszedł do siebie, padł do nóg panu komisarzowi i począł błagać o przebaczenie, wyznając, że wszystko, co mówił, powiedziane było z pokusy i ustami diabła, najpierw dlatego, aby mu wyrządzić szkodę i zemścić się za obrazę, a po wtóre i głównie dlatego, iż diabeł nie mógł dłużej cierpieć tego dobrodziejstwa, jakie spadało na każdego kupującego bullę.

³Aluzja do słów prorocstwa Ezechiela: „Bo nie chcę śmierci umierającego, mówi Pan Bóg; nawróćcie się, a życie” (XVIII, 32).

Po tym wyznaniu pan mój przebaczył mu i znów przyjaźń i zgoda została zawarta między nimi. Wówczas wszyscy tak gwałtownie zaczęli rozchwytywać bulle, że w całym miasteczku nie było żywego ducha, który by jej nie kupił: mężowie i żony, synowie i córki, słudzy i służące.

Pogłoska o zdarzeniu rozbiegła się po sąsiednich miejscowościach, toteż skorośmy tam przybywali, już nie trzeba było ani kazań, ani kościoła, wszyscy bowiem schodzili się po bulle do naszego mieszkania, jak gdyby tam darmo rozdawano gruszki. Dzięki temu w dziesięciu lub dwunastu miejscowościach tej okolicy pan mój sprzedawał bez żadnych kazań tysiące bull odpustowych.

Przyznaję, że i ja, podobnie jak inni, złapałem się na ten podstęp i wierzyłem, że wypadek w kościele był prawdą. Lecz kiedy później spostrzegłem, że alguazil z moim panem wyśmiewali się i cieszyli ze swego figla, zrozumiałem, że mój sprytny i pomysłowy chlebobdawca wyprowadził mnie w pole.

Zdarzyło się nam w pewnej miejscowości, której nazwy nie wspomnę przez wzgląd na jej dobre imię, że mój pan wygłosił dwa czy trzy kazania, ale ludzie nie chcieli brać bull. Widząc, że nie chcą ich brać nawet z rocznym terminem zapłaty i że są tak uparci, iż cała praca pójdzie na marne, mój przebiegły pan rozkazał bić w dzwony na odjezdne. Wygłosivszy kazanie pożegnał się, a kiedy już chciał zejść z ambony, zawołał mnie i pisarza, abyśmy weszli na pierwszy stopień. Wziął bulle z rąk alguazila i te, które dźwigałem w sakwach, położył u swoich stóp, po czym znowu ukazał się ludziom. Z radosnym obliczem począł je rozrzucać na wszystkie strony, po dziesięć, po dwadzieścia, mówiąc:

– Bierzcie, bierzcie, bracia moi! To łaska, którą Bóg zsyła na wasze domy! Nie odmawiajcie, gdyż nie ma pobożniejszego dzieła nad wykup brańców będących w krajach arabskich. Aby nie wyrzekli się oni naszej świętej wiary i nie zasłużyli na kary piekielne, wystarczy mała jałmużna i zmówienie na intencję ich uwolnienia pięć razy Ojcze nasz i Zdrowaś Mario. Skorzystają także na tym wasi ojcowie, bracia i krewni w czyśćcu – o czym możecie przeczytać w tej świętej bulli.

Kiedy ludzie zobaczyli, jak rozrzuca bulle – jako że rzecz, była darmo i dana od Boga – brali je bez opamiętania. Prosilili o nie nawet dla dzieci w kołyskach i swoich zmarłych; liczyli na palcach potomstwo i służących, aż do najpośledniejszego. Ponaglali nas przy tym tak, że o mały włos podarliby na mnie stary sajan. Ręczę Waszej Miłości, że w niecałą godzinę sakwy były puste i trzeba było pójść do oberży po nowe bulle.

Kiedy wszyscy już je otrzymali, mój pan powiedział z ambony, aby jego pisarz wraz z pisarzem grodzkim spisali, komu należy się odpust i rozgrzeszenie. W ten sposób będzie łatwiej – mówił – zdać cała sprawę przełożonemu, który go wysłał. Toteż ludzie chętnie podawali, ile bull wzięli, wyliczając przy tym kolejno swoje dzieci, służących i zmarłych.

Po sporządzeniu rejestru mój pan powiedział, że musi już jechać, przedtem poprosił jednak panów alkadów⁴ o miłosierny uczynek. Chodziło o to, aby z ich nakazu pisarz przekazał jemu pieczę nad rejestrem upamiętniającym nazwiska obecnych tam osób, których – wedle pisarza – było ponad dwa tysiące.

Gdy tak się stało, mój pan pożegnał się spokojnie i serdecznie, po czym opuściliśmy tamtą miejscowość. Przed odjazdem wypytywał go wikary i panowie rajcy, czy bulla rozciąga także swą moc na dzieci w łonach matek. Na co on odpowiedział, że sam tego żałuje jako sprzedawca odpustów, ale zgodnie z tym, co wyczytał, nie ma takiej mocy. Powiedział też, aby dla pewności spytali większych doktorów od niego. I tak wszyscy odjechaliśmy kontenci z pomyślnego załatwienia sprawy. W drodze mój pan zwrócił się do alguazila i pisarza:

– A może wydaje się wam jak tamtym tyczkom, że wystarczy rzecz: jesteście starymi chrześcijanami, żeby się zbawić⁵? Nie uszczknawszy majątku, nie dokonawszy żadnego miłosiernego uczynku? Jakem licencjat⁶ Pacasio Gómez, za ich pieniądze uwolni się więcej niż dziesięciu brańców!

Przebyliśmy do innej osady w okolicach Toledo, położonej bliżej La Manchy. Napotkaliśmy tam ludzi, którzy także wzbraniali się brać bulle. Mimo że staraliśmy się jak zwykle, podczas dwóch świąt kościelnych nie rozdaliśmy nawet trzydziestu. Widząc, jaką krzywdę czynią duszy i jego kieszeni, mój pan postanowił uciec się do fortelu. Było owego dnia niezwykle zimno i na ołtarzu stały miski z żarem, służące do ogrzewania rąk. Mój pan, który odprawiał sumę, wygłosiwszy kazanie, odwrócił się od ołtarza. Wyjął krzyż, który zwykle nosił ze sobą, i zasłoniwszy go mszałem, położył na żarze. Nikt tego nie zauważył. Po skończonej mszy i wygłoszonym błogosławieństwie ujął krzyż przez chustkę i trzymając go w prawej ręce, a w lewej bullę, stanął na najniższym stopniu ołtarza. Udał, że całuje krzyż, i dał znak innym, aby uczynili to samo. Pierwsi podeszli alkadowie i najstarsi mieszkańcy, idąc jeden za drugim, jak to jest we zwyczaju, Przewodził im stary alkad. Mimo że mój pan podsunął mu ostrożnie krzyż do pocałowania, poparzył sobie twarz i szybko się cofnął. Widząc to mój pan rzeki:

⁴Alkad – hiszpańskie *alcalde*, z arabskiego *al-gadi* (sędzia). Ogólna nazwa urzędników sprawujących władzę sądowniczą. Początkowo alkadowie byli wybierani przez wolne wspólnoty miejskie Kastylii i Leonu, później, od XV wieku, upowszechnił się zwyczaj desygnowania ich przez corregidorów, których z kolei mianował król. Corregidorzy nie tylko przejęli kompetencje rad miejskich, lecz stanęli także na czele wymiaru sprawiedliwości swoich jednostek terytorialnych. Od XIX wieku alkadami nazywa się burmistrzów. Oprócz zwykłych alkadów byli też alkadowie więcej, podlegający tym pierwszym i sprawujący urząd sędziego dla wygody ludności rolniczej, która żyła z dala od miast. Nazwy tej używano także w odniesieniu do zarządcy lasów królewskich lub senioralnych.

⁵Starzy chrześcijanie – w mniemaniu niektórych ludzi z gminu czystość krwi była nie tylko przywilejem społecznym i powodem do dumy, ale również zapewniała zbawienie.

⁶Licencjat – stopień i tytuł naukowy otrzymywany po ukończeniu fakultetu i uprawniający do wykonywania zawodu.

– Uciszcie się, uspokójkcie, panie alkadzie, oto cud!

To samo przytrafiło się siedmiu czy ośmiu następnym, a wszystkim mówił:

– Uciszcie się, oto cud!

Kiedy mój pan doszedł do wniosku, że wystarczy poparzonych do zaświadczenia cudu, nie chciał już nikomu więcej dać krzyża do ucałowania. Stał u stóp ołtarza i stamtąd jął opowiadać niestworzone rzeczy o tym, jak Bóg widząc brak miłosierdzia u ludzi, sprawił, że krzyż płonął. Mówił też, że powinno się go zanieść do katedry.

Wówczas zaczęto brać bulle tak szybko, że dwaj pisarze, księża i zakrystianie nie nadążali z pisaniem. Z pewnością rozdaliśmy wtedy ponad trzy tysiące buli, tak jak mówiłem Waszej Miłości.

Później, kiedy mieliśmy odjeżdżać, mój pan wziął z należytych szacunkiem krzyż w dłonie i powiedział, że należałoby go oprawić w złoto. Cała rada miejska i tamtejsi duchowni zaczęli go prosić, aby zostawił ów święty krzyż na pamiątkę cudownego zdarzenia. Mój pan nie chciał tego za nic uczynić, ale widząc, jak go proszą, wreszcie ustąpił. Dostał za to stary krzyż ze srebra, który – jak mówiono – ważył dwa albo trzy funty.

Odjeżdżaliśmy ciesząc się z zamiany i z pomyślnie załatwionej sprawy. Wspomniane wydarzenie widziałem tylko ja, ponieważ stałem blisko ołtarza. Wszedłem na podwyższenie, aby zobaczyć, czy w ampułkach nie zostały jakieś resztki wina, które mógłbym ukryć w bezpiecznym miejscu, jak to miałem w zwyczaju. Kiedy mój pan ujrzał mnie, położył palec na ustach, nakazując milczenie. Usłuchałem go, bo tak wypadało, ale później, jak zobaczyłem ów cud, ledwie się powstrzymałem od wyjawienia prawdy. Tylko strach, jaki odczuwałem przed moim przebiegłym panem, nie pozwalał mi o tym nikomu opowiadać. Nie wygadałem się też dlatego, że mój pan kazał mi przysiąc, iż nie zdradzę, na czym polegała sztuczka. Toteż milczałem aż do tej pory.

Choć byłem jeszcze malcem, spodobał mi się bardzo i pomyślałem sobie:

– Ileż to szkody wyrządzają ci oszuści łatwowiernym ludziom!

U tego piątego chlebobdawcy służyłem około czterech miesięcy, w czasie których zniósłem niemało trudów.

Rozdział 6

Jak Łazarz zgodził się na służbę do kapelana i co mu się u niego przytrafiło

Później trafiłem na malarza, który malował tamburyny; rozcierałem mu farby i wiele tam złego wycierpiałem.

W owym czasie wyrosłem już na sporego pachółka – i gdy raz wszedłem do kościoła, zauważył mnie kapelan i wziął do siebie. Powierzył mi dobrego osła, cztery dzbany i bat; zacząłem po mieście rozwozić wodę. Był to pierwszy stopień wiodący mnie do porządnego życia. Co dzień oddawałem memu gospodarzowi trzydzieści zarobionych marawedów, a wszystko, co miałem więcej, oraz cały sobotni zarobek zostawiałem dla siebie.

Szło mi tak dobrze, że po czterech latach mych starań z zebranych oszczędności mogłem się wcale dostatnio przyodziać. Kupiłem kurtkę barchanową, stary, przetarty sajan o przeplatanych rękawach, nadto wcale znośny płaszcz z gręplowanej wełny i staroświecką szpadę z Cuellar. Gdy się ujrzałem w ubraniu przyzwoitego człowieka, rzekłem memu gospodarzowi, żeby sobie zabrał osła, bo ja nie myślę zajmować się taką robotą.

Rozdział 7

Jak łazarz zgodził się na służbę do alguazila i co go tam spotkało

Odszedłszy od kapelana, zgodziłem się za pachółka u alguazila, ale niedługo tam wytrwałem, bo służba wydała mi się niebezpieczna. Zwłaszcza że pewnej nocy mnie i mego pana pogonili kijami i kamieniami ludzie szukający azylu w kościele¹; pana, który wówczas przystanął na chwilę, zbito okrutnie, ale mnie nie dogonili. Po tej przygodzie podziękowałem za służbę.

Gdym rozmyślał, jaki sposób życia obrać, aby zaznać spokoju i odłożyć coś na starość, Bóg oświecił mnie, wskazując moją prawdziwą drogę i prawdziwą korzyść. Dzięki pomocy przyjaciół i życzliwości panów wszystkie trudy i troski, jakie przecierpiałem do tej pory, zostały suto nagrodzone. Osiągnąłem wreszcie to, do czego dążyłem, a mianowicie urząd królewski; widziałem bowiem, że nikt nie żyje tak dobrze, jak człowiek, który nań wstąpił. I do dziś dnia zajmuję go i żyję z niego, służąc Bogu najwyższemu i Waszej Miłości. Ja to mam obowiązek ogłaszać o sprzedaży wina w naszym mieście, o przetargach, o przedmiotach zgubionych; mam też oprowadzać osoby przez sąd skazane, głośno wywołując ich występki. Mówiąc wyraźniej, jestem heroldem².

Pewnego dnia w Toledo uczestniczyłem z urzędu przy wieszaniu złodziejaska. Nosił on na szyi gruby konopny sznur. Zrozumiałem wtedy sentencję wygłoszoną przez ślepcę w Escalonie i pożałowałem, że tak źle się z nim obszedłem. Bo on po Bogu nauczył mnie najwięcej i wskazał, jak mam sobie radzić, aby dojść do tego, do czego doszedłem.

W swoim zawodzie tak się już wyszkoliłem i tak prędko z nim obznajmiłem, że dziś prawie wszystkie sprawy, które do tego urzędu należą, przechodzą przez

¹Kościoły nie podlegały jurysdykcji świeckiej, nie wolno więc było dokonywać w nich aresztowań.

²Jedna z profesji o najniższym prestiżu społecznym. Murzyni, Mulaci, rzeźnicy, heroldowie i kaci nie mogli zaciągać, się do wojska.

moje ręce. Toteż każdy, kto chce w mieście sprzedać wino albo coś innego, nie spodziewa się dobrego targu, jeżeli Łazarz z Tormesu nie weźmie w tym udziału.

W owym czasie ksiądz prałat Świętego Zbawiciela, którego wina wówczas sprzedawałem, to jest pan mój, a sługa i przyjaciel Waszej Wysokości, dowiedział się o mojej osobie, a widząc moją obrotność i dobre prowadzenie postanowił ożenić mnie ze swoją służącą. Sądząc, że od tak godnej osoby można się spodziewać tylko dobra i życzliwości, zgodziłem się ją pojąć. Do tej pory tego nie żałuję. Bo nie dość, że wziąłem dziewczynę zącą i gospodarną, lecz nadto znalazłem w księdzu prałacie łaskawego opiekuna i dobroczyńcę. I tak: kilka razy do roku daje jej korzec pszenicy, na Boże Narodzenie mamy od niego mięso, a czasem parę bochenków lub stare spodnie, których już nie nosi. Polecił nam najać domek blisko siebie. W niedziele i święta prawie zawsze bywamy u niego na obiedzie.

Oczywiście złe języki, których nigdy nie brak, nie dają nam spokoju i plotą nie wiem co albo raczej wiem co: oto, że ludzie widzą, jak moja żona chodzi do księdza słać łóżko i przyrządzać obiad.

I niech Bóg ma ich w swojej opiece, gdyż mówią prawdę. Chociaż nachodzą mnie ostatnio podejrzenia. Zepsuła mi kilka kolacji całonocnym czekaniem na nią aż do jutrzni, a nawet dłużej. Przypominają mi się czasem słowa wypowiedziane przez ślepego w Escalonie, kiedy namacał róg. Ale tak naprawdę to myślę, że diabeł przywodzi mi je na pamięć, abym, żałował ożenku, co mu się nie udaje.

Lecz nie jest ona z tych kobiet, co to brednie biorą sobie do serca, a opiekun mój przyrzekł mi coś i, jak sądę, dotrzyma obietnicy.

Pewnego razu w obecności mej żony długo ze mną rozmawiał:

– Łazarzu z Tormesu, nigdy nie będzie dobrze temu, kto się przejmuje pleceniem złych języków. Mówię to dlatego, że sam wcale się nie zdziwię, jeżeli ktoś zacznie coś pleść, widząc, jak twoja żona przychodzi do mnie do domu. Ręczę ci, że ona przychodzi tam bez żadnego uszczerbku dla twojej i własnej czci. Toteż nie zważaj na to, co mogą rzec ludzie, ale myśl tylko o tym, co ciebie dotyczy. Mówię to dla twego dobra.

– Panie mój – odpowiedziałem – postanawiam iść za dobrą radą. Wprawdzie niektórzy z mych przyjaciół mówili mi co nieco, a nawet zapewniali kilkakrotnie, że żona, zanim wyszła za mnie, rodziła już trzy razy, mówiąc bez urazy Waszej Wielebności, jako że ona jest tu obecna.

Na te słowa żona poczęła tak się zaklinać, iż myślałem, że cały dom zawali się na nas; potem zaczęła płakać i rzucać tysiące przekleństw na tego, kto mnie z nią ożenił, tak, iż wreszcie żałowałem, że mnie piorun nie trzasnął, zanim wymówiłem te słowa. Na kopiec ja ze swej strony, ksiądz prałat ze swojej – zaczęliśmy ją uspokajać i jej tłumaczyć, aż wreszcie przestała płakać, gdy przysięgłem, że już nigdy w życiu o tym nie wspomnę i że pochwalam, nawet cieszę się z jej odwiedzin u księdza dniem i nocą, bo jestem całkowicie przekonany o jej uczciwości. Tak też doskonale urządziliśmy się we troje.

Do dziś dnia nikt od nas nie słyszał o tym zajściu. Przeciwnie, gdy podejrzewam, że ktoś zamierza coś o niej rzec, powstrzymuję go słowami:

– Słuchaj, jeżeli jesteś moim przyjacielem, nie mów tego, co może mi być nie-
miłe. Nie mogę uważać za swego przyjaciela człowieka, który sprawia mi przy-
krość, a zwłaszcza gdy chce powaśnić mnie z żoną, którą kocham ponad wszystko
w świecie, ponad siebie samego. A z nią Pan Bóg zsyła na mnie więcej, znacznie
więcej dobrodziejstw, niż zasługuję. I gotów jestem przysiąc na wszystkie, świę-
tości, że jest ona najuczciwszą żoną ze wszystkich, jakie żyją w murach miasta
Toledo. A kto powie inaczej, będzie miał ze mną do czynienia.

Dzięki temu ludzie nie mają odwagi mówić mi cokolwiek, a ja żyję sobie ci-
cho w moim domu. Stało się to w tym samym roku, kiedy nasz zwycięski cesarz
zawitał do sławnego miasta Toledo i zwołał w nim kortezy, skutkiem czego wy-
prawiono wspaniałe uczyty i igrzyska, o których Wasza Miłość zapewne słyszał.
Wówczas to żyłem w dostatku i powodzenie moje sięgało szczytu; o wszystkim,
co się potem zdarzyło, napiszą jeszcze Waszej Miłości.